

Moja pamiątka
po moim Ojcu śp. Eugeniuszu Modzelewskim

Na mojej półce w biblioteczce znajdują się przepisane przeze mnie z rękopisu wspomnienia mojego Ojca.

Rękopis znajduje się w posiadaniu mojej siostrzenicy, która Dziadkowi na ostatnie w Jego życiu Święta Bożego Narodzenia sprezentowała brulion do spisania wspomnień.

Tak więc natychmiast od stycznia 2008 roku mój Ojciec zaczął pisać w tym zeszycie, po kolei spisując wydarzenia, do których często wracał wspomnieniami w rozmowach ze swoimi dziećmi, wnukami, dalszymi krewnymi, sąsiadami i napotkanymi znajomymi.

W pamięci miał wiele zdarzeń z okresu II wojny światowej, wspomnienia z czasu więzienia w latach powojennych i ciężkiej pracy na gospodarstwie rolnym, które prowadził do 1984r. Dzięki temu, że gospodarstwo przekazał najmłodszemu synowi, po ukończeniu 65 lat otrzymał emeryturę.

Mój Ociec, Eugeniusz Modzelewski urodził się 14.04.1924r. w rodzinie Józefa Stanisława Modzelewskiego i Józefy z domu Dzierzgowska w Sulkach koło Łomży. Był najstarszym synem w wielodzietnej rodzinie. Miał dwóch braci i sześć sióstr. Mój Dziadek w roku 1930 sprzedał gospodarstwo w Sulkach, kupił nowe w Leopoldowie, a w roku 1936, w związku ze scalaniem gruntów, dostał ziemię w Kiertanach i tam został wybudowany dom. W domu tym do śmierci mieszkali moi Dziadkowie, a także moi Rodzice, po przekazaniu gospodarstwa z siedliskiem dla mojego brata. Po śmierci mojej Mamy, mój Tata przeprowadził się w 2000 roku z powrotem do domu, który wybudował wraz z moją Mamą w 1958 roku, na miejscu Jej domu rodzinnego, znajdującego się też w Kiertanach. Poprzedni dom, w którym urodziła się moja Mama był drewniany i został rozebrany.

Moi Rodzice mieli pięcioro dzieci, czterech synów i jedną córkę. Ja byłem najstarszy, urodziłem się w 1946r. Już jako mały chłopiec pomagałem na gospodarstwie i przy opiece nad młodszym rodzeństwem. Widziałem jak ciężko pracują moi Rodzice, aby utrzymać tę niemałą rodzinę. Byli bardzo pracowici i oszczędni. Dokupywali jeszcze ziemię, żeby powiększyć niewielkie gospodarstwo, które otrzymała moja Mama po swoich Rodzicach.

Mój Tata wiele lat pełnił funkcję sołtysa, jako człowiek rzetelny i uczciwy cieszył się szacunkiem sąsiadów.

W 1993 roku uzyskał anulowanie politycznego wyroku więzienia i otrzymał legitymację kombatanta w związku z Jego udziałem w walce z najeźdźcą jako żołnierz Armii Krajowej obwodu zambrowskiego. Wielokrotnie uczestniczył w uroczystościach państwowych jako kombatant wojenny.

Mój Tata zakończył spisywać wspomnienia w miesiącu kwietniu 2008 roku, a 1 czerwca tego roku zmarł.

Do wspomnień tych wielokrotnie wracam, stwierdzając jak wiele mój Tata zapamiętał i spisał. Niezwykle szczegółowe są wspomnienia z okresu wojny, okresu aresztu, więzienia i przymusowej pracy. Te fragmenty wspomnień stanowią uzupełnienie niniejszego wspomnienia o moim śp. Ojcu i stanowią moją pamiątkę.

Wspomnienia

Kiertany

(nazwa potoczna, **Kiertany**, nazwa urzędowa **Luby-Kiertany**)

Do Kiertan przeprowadziliśmy się w maju 1939 roku. Stodołę i chlewy rozebraliśmy i przewieźliśmy z Leopoldowa do Kiertan. Nasze pierwsze mieszkanie w Kiertanach było zrobione z części chlewa. Za ścianą była stajnia i pomieszczenie dla krów i świń.

Coraz częściej i coraz więcej mówili ludzie o wojnie.

W sierpniu wojsko zrobiło mobilizację na konie i wozy. Mężczyzn z rezerwy też częściowo zmobilizowali. Pierwszego września 1939 r. Niemcy napadli na Polskę.

W pierwszych dniach napaści samoloty niemieckie latały dosyć wysoko, ale już po paru dniach, nad samą ziemią.

Sołtys nakazał iść na szosę i pilnować telefonów, to jest tych drutów na słupach. Było nas dwóch, ten drugi był starszy wiekiem.

Na szosie były grupki wojska, które spotykały się jedni z drugimi i się pytali jak tam w Myszyncu, bo w Myszyncu był duży bój. W Łomży wypuścili więźniów, szli oni w kierunku Ostrołki i jak zobaczyli wojsko, to krzyčeli: „Niech żyje Hitler, dał nam wolność”. Była puszczona taka propaganda, że Niemcy chłopów zabierają, a kobiety mordują. Więc ludzie zaczęli pakować się na wozy i szykować do odjazdu. Ale gdzie mieli jechać, to nikt nie wiedział. Z Kiertan wyjechali za Święchnę w olszynę i na wieczór przyjechali do domu. U nas też wóz był naładowany, ale z podwórka nie odjeżdżał, bo ja nie wiedziałem gdzie mam jechać. Ojciec z innymi chłopami uciekli przed Niemcami. W drodze spotkali się z wojskiem i oficer im powiedział, że to co usłyszeli to jest kłamstwo.

- Wracajcie do domu, do rodzin, to będzie najbezpieczniej, bo w drodze może was spotkać samolot i dokonać ostrzału, a jakby was spotkało wojsko niemieckie, to mogliby was zabrać. Uciekinierzy na wieczór byli w domu i żaden z nich przez całą okupację niemiecką i radziecką nie ucierpiał. Zmarli śmiercią naturalną.

Za parę dni Niemcy już byli w Kiertanach. Poszedłem ich zobaczyć, jakie to są ci Niemcy, a już z nimi rozmawiali starsi gospodarze. Pamiętam że jeden z nich mówił po polsku. Rozłożył mapę i pokazał jak się Hitler ze Stalinem podzielili Polską. Powiedział, że oni tu nie będą, tylko pójda do Ostrołki, „a tu do was przyjdą Ruskie” i tak też było.

Okupacja radziecka

listopad 1939r. do czerwca 1941r.

Niemcy odeszli we wrześniu, a Ruskie przyszedli w listopadzie. Tak, że parę tygodni było bezkrólowie. Do Kiertan przyszło ich bardzo dużo. Pozajmowali mieszkania gdzie tylko to było możliwe. Ale już na wiosnę pobudowali sobie jakieś tam szałas i ziemianki i domy opuścili.

Do granicy z Niemcami było blisko, 14 kilometrów do Narwi. Pogranicznicy przyjeżdżali, zbierali młodzież i uczyli ją śpiewać Katuszę. Nikt się tym śpiewem nie zachwycał, ale nie można było tego okazywać. Jak tylko odjechali, to zaraz zaczynaliśmy śpiewać „Boże coś Polskę” tak, że większa część z nas się popłakała.

Zaczęły się obowiązkowe furmanki, w każdy dzień przychodził żołnierz i brał furmanki. Musieli gospodarze jeździć do lasu po drzewo i wozić je gdzie Rosjanie chcieli.

Pamiętam, że w tym czterdziestym roku bardzo się rozchorowałem, tak że jak wstałem od kibelka, to się przewróciłem. Pamiętam, że ojciec mnie podnosił. Ale czy był u mnie lekarz, czy brałem jakieś leki, tego nie pamiętam. Pamiętam tylko to, że wzdrowiałem.

Rosjanie, jak przyszedli, to zaraz mocno zaczęli rządzić. Brali do wojska. Pamiętam, że moich znajomych wzięli pięciu, w tym dwóch moich kuzynów, którzy do dziś nie powrócili. Zaczęli budować bunkry, ludzi gnali do kopania dołów, które były bardzo głębokie. Nakazywali wozić kamienie, a ludziom je tłuc. Na mnie też nałożyli normę „utłucz siedem metrów kamieni”. Ale co było najgorsze, to, że często aresztowali ludzi, początkowo pojedyncze osoby. A wkrótce zaczęli wywozić całe rodziny.

Ja jeszcze wrócę do tego tłuczenia kamieni. Zacząłem tłuc, ale nie bardzo mi to wychodziło. Przez osiem godzin utłukłem pięć setnych. Pomyślałem sobie, że ja przez pół roku normy nie wyrobię. I pomyślałem, że Kacapów nie będę dorabiał. Przyniosłem sobie końską torbę i jak ten żołnierz, co te kamienie przyjmował, poszedł na obiad, to ja z tej dużej kupy sobie nanosiłem do tego miejsca gdzie tłukłem. A kiedy już pod wieczór zaczęli znosić na tą dużą kupę, to ja też z powrotem je odniosłem. I tak z tymi kamieniami robiłem do końca. Ale mi się to opłacało, miałem 1,70 metra. W jeden dzień przenosiłem dziesięć lub piętnaście setnych. A potem był koniec z tymi kamieniami, bo Niemiec ich pognął.

Rok 1941 był dla Polaków na tym terenie, co okupowali Rosjanie, wielkim koszmarem. Ludzie chodzili jak cienie. Nikt nie wiedział co do jutra z nim będzie. Wywozili masowo całe rodziny, ale wiadomo było, że na Sybir.

Ruskie nakazali mi wyrobić dowód osobisty. Ale do dowodu potrzebna była metryka urodzenia. Dwudziestego czwartego rocznika metryki zabrała NKWD i trzeba było jechać do Łomży po metrykę. Bo mój rocznik, to my już stawali dwa razy na komisji. I już było wiadomo,

że mają nas wywieźć do Rosji, ale nie zdążyli. Pojechałem do Łomży do tego NKWD i szukam gdzie to jest. Spotkałem woźnego i się go pytam gdzie to jest, a on mi mówi:

- To co, nie wiesz? Oni wszyscy wyjechali zwozić ludzi.

Pamiętam, że to był piątek. Jak przyjechałem do domu bez metryki, to się dowiedziałem, że i u nas było NKWD. Spisali z dowodów, znaczyło to, że do wywiezienia. Tak, że w Kiertanach było osiem rodzin do wywiezienia. Pomyślałem sobie, „mnie to tak łatwo nie weźmiecie”. I już z piątku na sobotę wzięłem sukmanę i poszedłem spać na pole, w żyto. I z soboty na niedzielę, też tak samo. Śpię, ale mi się śni, że idzie duża burza, myślę, że zmoknę. Ale jak się przebudziłem, to leżałem na plecach, patrzę w górę, a na niebie pełno gwiazd. Pamiętam, że podskoczyłem do góry i głośno krzyknąłem „wojna!”. Nie wiem, skąd się to u mnie wzięło, przecież nikt nie mówił o żadnej wojnie. I nikt się żadnej wojny nie spodziewał, przecież każdy wiedział, że te dwa potężne byki: czarny z czerwonym, się zaprzyjaźnili i Polskę zabodły. A, że się oba zaczną bóść, to nie wiem, czy ktoś o tym pomyślał.

Był 1941 rok, 21 czerwiec – rano jeszcze ciemno. Wracam z noclegu – patrzę, a tu sąsiad wychodzi z kryjówki ze stodoły. Krzyknąłem do niego:

- Panie Szablowski, to wojna.

A on to powtarzał kilka razy.

- Daj to Boże, daj to Boże.

Obudziłem swoich rodziców, bo jeszcze spali, długo czuwali spodziewając się, że tej nocy NKWD może zabrać ich na transport, na Syberię, a dopiero nad ranem usnęli. Było słychać strzały z armat i samoloty zrzucały bomby na Łomżę i Śniadowo. Rosjanie wili się jak ryby w sieci. Nie wiedzieli, co się stało. Taki przyjaciel na nich napadł. Niemiec tak im zrobił, jak oni Polsce 1939 roku, 17 września. Samoloty niemieckie latały nad ich głowami. Pamiętam jak żołnierz przekopywał przez taką wąską drogę rowek, żeby położyć linię telefoniczną. Pytam się go, czy to manewry, a on mówi, że wojna. A ja mówię mu:

- Jaka to wojna, jak nie strzelacie?

On powiedział, że „prykazu” nie ma, ale jak będzie „prykaz”, to Niemiec powącha sowieckiego prochu. Ale nie powąchał, bo nie było ani jednego wystrzału. Dwie doby kręcili się jak głupcy, mieli u nas bardzo dużo armat zakopanych koło naszej wioski. Zdążyli je zakopać i z powrotem je wyciągają. Przypinają osiem koni i galopem ciągną je kilkaset metrów i zakopują je od nowa. I tak trwało dwie doby. Na wieczór się już uciszyło. Słychać było na szosie samochody. A ja z natury byłem ciekawy i nie wiedziałem co to strach. Więc wyszedłem za stodołę, żeby lepiej słyszeć. Pamiętam, że świecił księżyc. Stałem w cieniu i słucham. Usłyszałem gwizd. Patrzę się, a tu idzie sowiecki oficer. Poszedł w stronę szosy, do której było

około 1000 metrów. I już rozumiałem dlaczego nie strzelali. Za parę dni byli ludzie w Łomży i mówili, że niemieccy oficerowie spacerują razem z Rosjanami i dlatego u nas nie strzelali. To było dla nas bardzo dobrze. U nas największa radość jaka tylko mogła być, to jak Niemcy wypędzili Rosjan. Chociaż wiedzieliśmy, że odszedł jeden bardzo groźny wróg, a przyszedł drugi, o którym dużo nie wiedzieliśmy. Najbardziej Rosjan żałowali Żydzi, bo za ich panowania byli bardzo ważni. I żałowali ich też Polacy, którzy z nimi współpracowali. A tacy byli prawie w każdej wiosce, którzy pokazywali Sowietom kogo trzeba wywieźć. Ale jak przyszli Niemcy, to ludzie ich pokazali Niemcom i Niemcy ich zabrali i wieść o nich zaginęła.

U nas też w sąsiedniej wiosce było dwóch takich mocnych towarzyszy. Ale Niemcom ich nie pokazali. Za niemieckiej okupacji szybko zaczęło działać „podziemie”. Więc odwiedziła ich bojówka i wymierzyła im zapłatę za usługi na rzecz Sowietów, prawdopodobnie dostali lanie. I jeden z nich już nigdy się nie kontaktował, zmarł śmiercią naturalną. A drugi, jak przyszli Sowietci w 1944 roku, to zaczął działać od nowa i w 1945 roku został zastrzelony przez żołnierzy podziemia.

Okupacja niemiecka

Niemcy przyszli do Kiortan w 1941 roku, pod koniec czerwca i zaczęli rządzić. Tych ludzi, co pracowali w gminie przed wojną, teraz też ich zatrudnili do pracy w gminie. Wójt Sadowski w dalszym ciągu był w gminie wójtem. W pierwszych miesiącach żandarmów było czterech na trzech gminach: Miastkowo, Szczepankowo i Nowogród. Nad całością gminy był jeden Niemiec, nazywali go komisarz. Był po cywilnemu. Ale jak byłem zorientowany, to gmina rządziła nim, a nie on gminą. Miałem już wtedy rower, który był mi potrzebny do rozwożenia podziemnej prasy. Na użytkowanie roweru trzeba było mieć pozwolenie od komisarza, który mi je wydał na tej podstawie, że pracuję w lesie i muszę dojeżdżać. Naprawdę to ja go i nie znałem. Załatwiali to w gminie, bo jak się domyślałem, to oni należeli do AK, to znaczyło „Armia Krajowa”. W tamtych czasach nie pamiętam, żeby ktoś jeździł rowerem oprócz mnie. Rowery na wsi były w małych ilościach, a z nastaniem wojny prawie wszystkie zostały zakopane w ziemi.

Po kilku tygodniach zaczęli do nas przychodzić tak zwani przemytnicy, Przychodzili za żywnością z okolic Warszawy. W tamtych czasach na naszych wsiach żywności było dosyć, tylko przemyt utrudniała im granica, która pozostała po Sowietach. Na tej granicy byli Niemcy, którzy utrudniali im przejście. Do tej granicy to jeszcze wrócę, bo sam przez nią przechodziłem, tam i z powrotem.

Z 1941 na 1942 rok była bardzo mroźna i śnieżna zima. Do odgarniania śniegu na szosę chodziłem gdzieś tak od grudnia do kwietnia. Po obu stronach szosy pod koniec zimy hałdy narzucanego śniegu sięgały pod same telefoniczne druty. W każdy dzień na szosie były setki ludzi przy odrzucaniu śniegu. Było i tak, że się przez dzień odrzuciło i był tunel do przejechania, a w nocy go zawiało i od nowa robota.

Na wiosnę zaczęły się obowiązkowe furmanki. Nakazywali wozić kamienie do Uśnika, to do lasu po drzewo i dwie furmanki z Kiertan do Miastkowa do gminy, na tak zwaną stójkę. Tak, że nie było wiadomo, gdzie się pojedzie i z kim. Ponieważ w Kiertanach mieli dobre konie, to z tej stójki jak gdzie chcieli jechać z gminy urzędnicy, to mówili „Kiertany, konie do bryczki”. W tym czasie na stójce byłem ja. Zawsze jeździł mój ojciec, ale tym razem coś mu nie pasowało i wysłał mnie.

Założyłem konie do bryczki, przyszedł sekretarz gminy Serlikowski i Niemiec Ostrowski, gospodarz na gminie Szczepankowo. Pojechaliśmy do kilku wiosek, w jakiej kolejności, to nie pamiętam, tylko że to były Żebry, Zagroby i jeszcze jakaś trzecia. Najpierw pojechaliśmy do sołtysa. Postawił litr wódki i talerz skwarek. Ci moi pasażerowie wypili po pół szklanki i ja też. I poszli dalej, a ja zostałem przy koniach. Prawdopodobnie spisywali inwentarz, bo pamiętam, że było trochę śniegu na polu, a chodziły krowy. Zaczęło się ściemniać, przyszedł jakiś pan i powiedział, żeby przejechać do niego. No i przejechałem. Wszedłem do mieszkania i jak zwykle wchodziło się do kuchni, która była dość duża. Stół stał mniej więcej na środku, posadzili mnie przy tym stole tak, że widziałem swoich pasażerów, którzy siedzieli przy stole w niedużym pokoju. Za chwilę przyszły dwie panienki do nich, do towarzystwa i zaczęła się libacja. Ja jako furman siedziałem w kuchni, ale gospodarz o mnie dobrze pamiętał. Pod tym stołem, co ja siedziałem, stała bańka z bimbrem zaprawionym miodem. Ale moi pasażerowie też mnie obserwowali. Ostrowski mówi:

- Furman, chodź do nas, bo ty coś za często tą szklankę podnosisz. Napijesz się i nas pogubisz. No i tak naprawdę, na takiej libacji już nigdy nie byłem. Najgorzej było z tym piciem. Nie mogłem się nauczyć, żeby tak pić jak oni. Wlewali po pół szklanki, podnoszą do góry i ja razem z nimi. Po postawieniu szklanki patrzę, a oni razem pili jak i ja, ale w ich szklankach prawie wszystko, a moja pusta. I tak się to powtarzało parę razy. Była już noc, jak powiedzieli, że jedziemy. Poszedłem przyszykować konie i zajechałem przed dom, a tu mi zaczęli znosić kury, jajka i tytoń w liściach, ale wziąłem tylko tytoń, to się z Serlikowskim podzieliliśmy. Myślałem, że już jedziemy do domu, ale w Szczepankowie powiedzieli mi, żeby jechać pomału, bo jeszcze gdzieś zajedziemy. Zajechaliśmy, pamiętam, że do Zaborszczyków. Stałem przed domem, moi pasażerowie wysiedli i zaczęli stukać do okna, a ja pojechałem dalej na podwórko,

zawróciłem bliżej domu i czekam. A moi pasażerowie już byli w mieszkaniu. Po jakimś czasie wyszła starsza pani i poprosiła mnie do mieszkania. Wszedłem, patrząc na stole stoi duży kielich i zakąska. Pani powiedziała:

- Proszę siadać i się częstować.

Ale ja się tylko popatrzyłem i już czułem, że mam dosyć, tak że już nie wypłem. W pokoju słychać było wesołe śmiechy. Pomyślałem, że obudzili ich w środku nocy, a tak im wesoło. Nie pamiętam co powiedziałem, ale myślę, że powiedziałem dziękuję i dobranoc i wyszedłem, usiadłem na bryczkę, owinąłem się ciepłym ojca kożuchem i czekałem. Po jakimś czasie słyszę, że wychodzą. Wyszli, podeszli do płotu. Ostrowski trzyma się jedną ręką płotu, a drugą grzebie w rozporoku i nie bardzo mu to wychodzi i wreszcie Serlikowski mówi:

- Może pomóc?

Zrozumiałem, że i Serlikowski też zaczął szukać, żeby pomóc mu się wysikać. Ale za nim Serlikowski znalazł siusiaka, to Niemiec powiedział:

- Już nie trzeba, poleciało w spodnie.

Jeszcze poszli do mieszkania i siedzieli, aż się zaczęło rozwidniać. Zawiozłem ich do Miastkowa i przyjechałem do domu.

W 1942 roku w styczniu wstąpiłem do podziemnej organizacji. Po paru tygodniach zostałem łącznikiem. Ale jeszcze przedtem było pouczenie jak zachowywać się w razie niebezpieczeństwa. Prasa miała nazwę „Głos znad Narwi”. Przynosił ją do mnie człowiek znacznie ode mnie starszy, którego nazwiska nie znam do dziś. Prasa była zaadresowana na dwa kominy, ale ja wiedziałem, gdzie one są. Były w Wierzbowie. Bo to było tak, że ten co dostarczał, to wiedział do kogo ma dostarczyć, ale ten co otrzymał nie wiedział od kogo. Na tym polegała konspiracja.

W lecie tego roku przeszedłem kursy podoficerskie. Wykładowcą był człowiek z Miastkowa, miał program wydrukowany i trzeba się było go nauczyć. Spotykaliśmy się o umówionej godzinie w niedzielę, po kościele, na cmentarzu grzebalnym. Szliśmy tam każdy oddzielnie. Na cmentarzu w rogu były krzewy tak, że nie byliśmy widoczni, a sami mogliśmy obserwować otoczenie. Szkolenie trwało kilka niedziel, a za kilka dni po zakończeniu szkolenia miałem egzamin. Miał to być oficer, którego już chyba nigdy nie widziałem. Instruktorem moim był Stanisław Zduńczyk z Miastkowa. Zapoznanie się z bronią było u niego w mieszkaniu. Przez ten czas, kiedy ja się zapoznawałem z ręcznym karabinem maszynowym i granatami, jego siostra stała na straży, bo do siedziby żandarmów było 200-300 metrów. To było bardzo niebezpieczne.

Prasę otrzymywałem i przekazywałem pod wskazany adres jeszcze przez dłuższy czas, a kiedy się to skończyło, to dobrze nie pamiętam, chyba jak się przybliżał front w 1944r.

W 1943 roku dostałem kartę, żeby się szykować na wyjazd do Niemiec, do pracy. Takie karty dostali ci, którzy się urodzili w 1924 roku, chłopcy i dziewczyny.

I zaczęło się załatwianie w gminie, żeby nie jechać. Ojciec mi mówi, że trzeba będzie starać się załatwić, żebym nie pojechał. A ja ojcu powiedziałem, że niech się tym nie martwi, ja załatwię sam, a jak nie dam rady, to pojadę. Ale nasi urzędnicy w gminie byli bardzo mądrzy. Jak trzeba było wysłać trzy osoby, to oni naznaczyli cały rocznik i mogli dużo osób obronić od wywiezienia. Wyznaczone te trzy osoby zawsze jechały, a później urzędnicy mówili, że tyle osób obronili, a tych nie mogli, bo nie było komisarza, co by im podpisał, że nie mogą jechać. Za okupacji niemieckiej też było srogo, ale przynajmniej nie wywozili całych rodzin na Sybir.

Zemleć żyta we młynie było można 10 kg na jedną osobę na miesiąc na razówkę, to znaczy na kamieniu. Pszenicy nie wolno było mleć na młynie. Tuczniaka jakby jednego zawiózł do gminy, to drugiego można było sobie zabić legalnie, w rzeźni w Miastkowie. Nie pamiętam, żeby z Kiertan kto taką, wymianę robił. Tak, że kto tuczniaka uchował to i sam go dał radę zjeść. Zabicie tuczniaka też było ryzykowne, bo jakby wytropili żandarmi, to mogli nawet i zastrzelić przy tym tuczniku. Ja też zabiłem dwa tuczniki starszemu gospodarzowi, poprosił mnie o to, żeby mu pomóc. Tuczniki hodowali w ukryciu, przeważnie w stodole w zasięku, pod słomą. Robili takie rusztowanie i nakrywali słomą. Wejście było do niego z szopy, odsuwali deskę i dawali mu karmę. Pamiętam jak Pan Chojnowski, masarz z Miastkowa, przyjechał z Niemcem i szukał tuczników, bo on wiedział, gdzie można znaleźć. Wchodził do szopek i chrochaniem naśladował głos świń, ale żaden tucznik się nie zdradził, tak że Pan Chojnowski nic nie zyskał.

W gminie Miastkowo funkcję gospodarza pełnił Niemiec, który nazywał się Berger. Pewnego razu zrobił zebranie wiejskie i powiedział, że trzeba będzie oddawać mleko. Na zebraniu sprzeciwu nie było. Na zlewniarkę wybrali Zofię Jankowską. Berger przyniósł bańki 20-litrowe zaczął się skup. Cała wioska przynosiła mleko do jednej banki, ale nie zawsze mieszkańcy dali radę ją napełnić. Berger czasem zlewniarkę odwiedzał. Pamiętam jak jednego razu przyjechał, jak już wszyscy dostawcy przynieśli mleko, a bańka nie była pełna. Powiedział do zlewniarki:

- Dolej wody, żeby była pełna.

Był to dobry chłop, lat to może miał około 60 i lubił z naszymi ludźmi rozmawiać, jako tako znał polski język. Jednego razu powiedział, że Polacy są głupi i dał przykład Kontryma – „po co mu było iść do żandarmów i Polaków wydawać”. Kontrym był przed wojną nauczycielem w Miastkowie, a za Niemców poszedł na żandarma.

W Miastkowie w tym czasie był dwór kilkudziesięciohektarowy, należał do pani Mirowicz. Ona prowadziła gospodarstwo rolne nie mając żadnego sprzętu. Do uprawy pola jeździła cała gmina, nakazywali z każdej wioski i musieli jeździć to pole uprawiać. I ja też kilka razy jeździłem orać. U niej w tym dworze odbywały się uczty. Udział w nich brali pracownicy gminy i Niemcy.

Żandarmi po kilku miesiącach niemieckiej okupacji swoją liczebność zwiększyli. Doszli do nich Polacy: Święcki z Miastkowa i Kontrym, z Chojn Rytelewski, z Nowogrodu Chmielewski i Chojnowski i tak było przez dłuższy czas.

Tak opowiadał Berger:

”Przyszli wieczorem w niemieckich mundurach, krzyknęli ręce do góry. Ustawili nas pod ścianą i rewidowali. Zabrali mi grzebionek i kazali wleźć pod łóżko. Ale ja jestem gruby i pod łóżko nie mogłem wleźć to mnie kopnęli i musiałem wejść. Podniosłem łóżko i wszedłem. Kontyrma wyprowadzili na podwórze i go zastrzelili”.

Pomimo surowych zakazów przez Niemców, ruszyła produkcja młynków na konie, na których można było mleć wszystkie zboża na mąkę. Pszenicę przepuszczali parę razy, po każdym razie przesiewali przez gęste sito i na koniec otrzymywali pszenną mąkę. No i na dużą skalę ruszyła produkcja bimbrowa. Ja też się tego zawodu szybko nauczyłem, tak że jeszcze i do tego czasu nie zapomniałem. Robiono go przeważnie z żytniej mąki, bo cukru w tym czasie nie było.

Za niemieckiej okupacji, która trwała trzy lata i dwa miesiące wcale mi się nie nudziło, jak dzisiaj. Bo już dziewiąty rok mieszkam sam, najczęściej odwiedza mnie córka Irena, która mieszka w Łomży. Nie pamiętam dokładnie dat moich rozrywek z czasów trzyletniej okupacji, więc będę pisał bez dokładnej daty.

Nałożyli na mnie obowiązek utłuczenia dwóch metrów kamieni na szosie. Tłukłem je w Miastkowie. Jeździłem do tej roboty konno. Konia puszczałem w Miastkowie i on wracał do domu, a ja po pracy wracałem pieszo. Na szosie tłukło dużo ludzi, tak że było wesoło. Ile dni tłukłem te kamienie, to nie wiem, ale utłukłem tak, że dostałem kwit na te dwa metry. Kamienie trzeba było zbierać na polu, a jak kto miał już nazbierane, nie pamiętam ile tych kamieni było nałożone na każdego, to musiał wywieźć je do Uśnika.

Pamiętam, że jeździłem do Szablaka nad rzekę po kloce, które trzeba było zawieźć do tartaku do Łomży. Lubiłem jeździć w jednego konia. Jak zajechałem po te kloce, to już tam było kilku ludzi i pomagali sobie kłaść. Ale ja pomimo młodego wieku pomocy nie szukałem. Pomagał mi kasztan, to znaczy koń, w którego jeździłem. Wozy były, jak ich nazywali, żelaźniaki. Teraz taki wóz można zobaczyć w skansenie w Nowogrodzie. Ten wóz był lekki,

tak że jeden chłop mógł go łatwo przewrócić. Wóz się rozczepiało, jedną połowę przewracało tak, żeby był blisko kłoca, zaczepiało się łańcuchem za kłoca i czepiało się kasztana, żeby go wyciągnął. Tak, że te kładzenie trwało krócej jak te pisanie. A ci co przyjechali wcześniej ode mnie, jeszcze sobie pomagali, a ja już pojechałem. Kilka razy chodziliśmy do dworu, do żandarmów pilnować w nocy koni, żeby się im krzywda nie stała.

Ludzie z Warszawy i okolic Warszawy przyjeżdżali do nas za żywnością. Żywności u nas nie brakowało. Najlepiej chcieli kupować słoninę, bo za słoninę na bazarze można było wszystko kupić. Ale słoniny było za mało, żeby dla wszystkich wystarczyło. Kupowali, a raczej wymieniali za przyniesione artykuły do gospodarstwa domowego: groch, mąkę, fasolę. Jak nie mieli żadnej przeszkody, to wracali za tydzień. Ale różne przeszkody zdarzały się dosyć często.

Do nas przychodziło małżeństwo. Nazywali się Ludwiczak i mieszkali w Maciołkach w okolicy Kobyłki. Przychodzili jak do siebie – dostawali jeść i spanie w stodole. Tak żeśmy się do nich przyzwyczaili, a oni do nas jakby to była rodzina. Ja namyśliłem się z nimi iść, ale moi rodzice się sprzeciwiali. Ale ja byłem z natury uparty, a dla upartego nie ma lekarstwa. W końcu się zgodzili. Zabiliśmy tuczniaka, wziąłem 22 kg słoniny na plecy i poszedłem z nimi. Jak doszliśmy do Orła, to już do nas się dołączyło parę osób, od których się dowiedziałem, że szły dwie starsze kobiety i nadjechali żandarmi, strzelili do jednej i ją zabili nie schodząc z bryczki i pojechali dalej. Ale jak zauważyłem, to na mnie nie zrobiło dużego wrażenia. Szliśmy ostrożnie do granicy, która pozostała po Sowietach, a Niemcy jej strzegli, tak że przejście przez granicę było utrudnione. Ale ci ludzie, co często chodzili, to mieli różne sposoby na przejście. Wiedzieli, który granicznik będzie miał służbę i jak ma się przez granicę przechodzić. Byli i tacy na granicy, co dostawali bimbru, jajek i słoniny, to kilkanaście osób przeszło koło samej budki. I myśmy też przeszli koło samej budki. Szliśmy do Maciołek 3 noce, a w dzień siedzieliśmy w ukryciu. Po przyściu na miejsce i po odpoczynku pojechaliśmy na bazar do Warszawy. Gdzie wsiadaliśmy do tramwaju, to nie pamiętam, pamiętam tylko jak młoda kobieta i dwoje małych dzieci jechało tym tramwajem i płakały za jedzeniem. Widać było jak ludzie po wykopanych ziemniakach jeszcze raz kopali i szukali ziemniaków. U nas też było bardzo ciężko, ale żywności nam nie brakowało.

Na bazarze najpierw kupiłem harmonijkę, bo przede wszystkim po nią pojechałem i lampę karbidową, parę baterii do latarki i wyspę na pióra, a co więcej, nie pamiętam. Z powrotem do domu pojechaliśmy z Kobyłki do Gucina pociągiem. Do pociągu chodziliśmy z Maciołek do Kobyłki kilka razy, ale pociągu dla cywilów nie było. Pociągi jechały tylko wojskowe na wschód. Moi przewodnicy i opiekunowie w tym czasie załatwiali swoje sprawy i szykowali dzieciom na kilka dni żywność, bo nie wiedzieli kiedy wrócą, a czy w ogóle wrócą, to też nie

było pewne. Najstarsza dziewczynka miała 8 lat, a dwie były od niej młodsze. Mnie się w tym czasie tak bardzo do domu nie spieszyło. Miałem w tym domu towarzystwo, mieszkała w nim dziewczyna w moim wieku, Stanisława Gajewska. Tak żeśmy się zapoznali i rozmawialiśmy ze sobą. Mówiła, że jak by miała za co kupić towar, to by też pojechała. Ja jej zaproponowałem, że jak pojedzie, to jej towar u nas załatwię, ale ona z tego zrezygnowała.

Wreszcie po sześciu, czy siedmiu dniach spaceru z Maciołk do Kobyłki przyjechał oczekiwany pociąg. Pociągu ja do tego czasu nie widziałem, zobaczyłem go pierwszy raz. Przyjechał i było już w nim bardzo dużo ludzi. I dużo ludzi na niego czekało, żeby pojechać. Tak, że w ciągu kilkunastu minut poczepiali się chyba wszyscy. Ja też się zaczepiłem. Stałem na zderzaku i zaraz pociąg ruszył. Od szybkiej jazdy pociągu wytworzył się duży wiatr, a ja byłem ubrany w koszulę i bluzeczkę, myślałem, że wydmucha ze mnie wnętrzności. Ale widziała to dziewczyna, że ze mną jest źle. A ona stała na takiej małej desce na końcu wagonu i trzymała się za pochwyt. Zawołała mnie i mówi:

-Trzymaj się, a ja cię okryję chustką.

Ująłem się tego uchwytu co ona się trzymała, a ona obróciła się do mnie i owinęła mnie chustką. Tak żeśmy przytuleni do siebie przyjechaliśmy do końca, ale nie pamiętam czyśmy rozmawiali ze sobą, czy nie. O imię moje nie pamiętam żeby się ona pytała, a ja o jej. Dojechaliśmy szczęśliwie do tego miejsca, co mieliśmy dojechać i każde poszło w swoją stronę. Ale ja po tylu latach nie zapomniałem tej dziewczyny i dużej chustki.

Po przyjeździe do Gucina było jeszcze widno, a że za widoku granicy się nie przechodziło, odeszliśmy tam, gdzie na polu stała duża sterta słomy. Tak żeśmy się do tej słomy poprzytulali i czekali nocy. Przyszedł właściciel tej słomy, ładnie ubrany i powiedział:

- Ja wam tu nie bronię, ale żebyście tu nie nabałaganili.

Zaczęło się robić ciemno i zaczęliśmy podchodzić bliżej granicy. Na kilkadziesiąt metrów przed granicą wszyscy się zatrzymali, a pan Soska poszedł na zwiady. On się bardzo dobrze na tym znał, kiedy można przechodzić. To jak już wiedział, że można i w jakim miejscu, to dawał umówiony znak i przechodziła cała grupa, kilkanaście osób.

Do domu wróciłem po 11 lub 12 dniach. Przez ten czas co mnie nie było w Kiertanach nic szczególnego się nie wydarzyło. Ludzie z Warszawy i okolic w dalszym ciągu przychodzili za żywnością. Ja mocno zacząłem się uczyć grać na harmonijce, ale nie było to takie łatwe. Wreszcie podłapałem jedną melodię, było to capri. I już od tej pory zaczęło mi wychodzić coraz lepiej, tak że po paru tygodniach już mi nieźle wychodziło. I zostałem przyjęty do zespołu, do którego należał Wincenty Szablowski, który grał na harmonijce, a jego brat Ludwik na grzebieniu i ja na harmonijce. Na tamte okupacyjne czasy tworzyliśmy niezłą orkiestrę. A

tańczyć było komu, w tamtych latach w Kiertanach było dużo młodzieży. Rok 1943 zbliżał się do końca. Zima jaka była nie pamiętam, ale śniegu to chyba za dużo nie było.

Zaczął się rok 1944. W tym roku działo się bardzo dużo zmian. Już na wiosnę zaczęli kopać okopy, najpierw tak zwane rowy strzeleckie, na które trzeba było chodzić co dzień. Dla mnie to naprawdę była zabawa. Szpadel nosiłem, ale naprawdę to go nie używałem, tyle że przez jakiś czas tam byłem. Zaczęli kopać koło lasu na Cendrze, później koło lasu na Tarnowie, a następnie na Krasce, co najlepiej zapamiętałem. Do okopów na Krasce przywozili na wozie beczkę, w której był kran i dwa kubki przywiązane, a w beczce był spirytus z Drogoszewa. Jak przywieźli tę beczkę, utworzyła się kolejka, przeważnie z mężczyzn. Czy stawały w tej kolejce kobiety to nie pamiętam. Można było wypić jeden kubek i iść kopać. Ale ja się starałem, żeby wypić dwa i nie kopać. Po drugim kubku kombinowałem, żeby się urwać od tego kopania i zawsze mi się udawało. A naprawdę, to było zawsze nas dwóch. Przeleźliśmy gdzieś w ukryciu i jak ludzie po pracy wracali, to i my razem z nimi. Do domu nie można było przyjść wcześniej, bo było strach żandarmów. Jakby spotkali w domu, jak inni jeszcze kopali, to mogli nawet i zastrzelić.

I już od wiosny zaczęli jechać ze wschodu na zachód Ukraińcy. Byli ubrani w czarne mundury. Jak zajechali do wioski na noc, to nie robili nikomu krzywdy. Szefem ich był Niemiec. Grupy te zajeżdżały do naszej wioski kilka razy. Ja od jednej grupy kupiłem nowy rower za cztery kilo słoniny.

Ostatniego razu też zajechali do naszej wioski na noc. A ja jak zwykle spałem nad stajnią, która łączyła się z mieszkaniem oddzielną ścianą. Rano się przebudziłem i słyszę, że w tym mieszkaniu coś się dzieje. Zszedłem szybko na dół. Wchodzę do mieszkania i widzę, że matka płacze. Pytam co się stało, a matka mówi, że ojciec jedzie na furmankę z Ukraińcami. Ja już miałem skończone 20 lat i powiedziałem:

- W żadnym wypadku ojciec nie może jechać. Pojadę ja, a ojciec niech pilnuje dzieci - bo jest ich siedmioro młodszych ode mnie.

I wyrazili zgodę, że pojadę ja i pojechałem. Jazda była w nieznane, gdzie i dokąd.

Na mój wóz załadowali kilka skrzyń, jak się później dowiedziałem były w nich granaty, konserwy, papierosy i nie wiem co jeszcze. I już zaczęliśmy jechać. Był ze mną Ukrainiec, mniej więcej w moim wieku. Matka dała mi na drogę gotowane jajka, bo nie miałem czasu zjeść śniadania, tak że jak zaczęliśmy jechać, zaraz jedno zacząłem obłupywać i jeść. Zauważyłem, że ten mój pasażer też ma ochotę na jajko. Pytam się go, a on kiwnął głową, że tak. I jedziemy dalej, pyta się mnie, czy mam nóż. Powiedziałem, że nie. Dojechaliśmy na koniec Miastkowa, a on pokazuje żeby się zatrzymać. Zatrzymałem się, a on wskoczył do

mieszkania i wynosi w rękę kuchenny nóż, wskoczył na wóz i jedziemy dalej. Zaczął grzebać w skrzynce i daje mi konserwę. Otworzył ją i daje mi, żeby jeść. Pamiętam, że była bardzo dobra, ale całej nie dałem rady zjeść i pokazuję mu, że już więcej nie zjem. Wziął ją ode mnie i wyrzucił. Ale dowiedziałem się, że są na wozie konserwy i papierosy, czego mi już do końca jazdy nie brakowało.

Pojechaliśmy na Wojciechowice. Za strumykiem skręciliśmy w prawo, w to miejsce, gdzie teraz jest fabryka papieru, powszechnie nazywana celulozą, a wtedy to było pole uprawne. Kazali konie wypiąć od wozu i puścić na trawę. Po południu znowu konie do wozu i jazda dalej. Zajechaliśmy na noc do Borawego. Koniom przywieźli wóz seradeli i konie dostały żarcie w wozie i tak przestały do rana. Rano jedziemy dalej, dojechaliśmy do miejscowości Ponikiew, było to koło południa. Kazali konie wypiąć od wozu i puścić na koniczynę i po niedługim czasie konie do wozu i jedziemy dalej. Dojechaliśmy do Różana i za Różan do miejscowości Gosie i tam mieliśmy stać do rana.

Z Kiertan wyjechały cztery wozy, ale jeden pojechał z inną grupą. A drugim wozem jechał dobry cwaniak. Miał jednego konia bardzo dobrego, a drugiego bardzo słabego. I jak wyjeżdżał z domu to cały ciężar wozu przełożył na tego słabego. Jak dojechaliśmy do Miastkowa, to jemu ten słaby koń stanął i już dalej nie miał siły iść. W tym czasie wyjechał na szosę Jarzyło. Zatrzymali go i przełożyli skrzynkę na jego wóz i pojechał razem z nami. Ostatecznie z Kiertan było nas dwóch, ale ten mój sąsiad był już w starszym wieku i dość powolny, tak żeby można było z nim coś załatwić. Z Jarzyło tośmy się znali, bo przyjeżdżaliśmy do dworu z nakazu do prac polowych. Ucieszyłem się, że będzie nas dwóch sprytniejszych, to może da się coś załatwić.

Zaczynamy myśleć, żeby się jakoś zwolnić. Poszliśmy prosić tego Niemca, co był szefem tej grupy, żeby nas zwolnił, bo już daleko odjechaliśmy od domu.

A on nam powiedział:

- A ja jestem jeszcze dalej jak wy. Jak znajdziecie za siebie furmanki, to ja nie mam nic przeciw temu.

Ale tu nie widać żadnych możliwości, żeby dało się coś zrobić. Wkrótce sytuacja się zmieniła. Tu, gdzie się zatrzymaliśmy były dwa zabudowania, ale nie było wody. Po wodę trzeba było jechać do wioski odległej o około jednego kilometra. Pojechaliśmy napoić konie i zobaczyliśmy, że jest to niemała wioska, to może uda się nam coś załatwić. Zaczęliśmy obmyślać plan załatwiania furmanek. Jarzyło grał Ukraińca, gdyż mundur miał już podobny do ukraińskiego, a nakrycie głowy pożyczyłem od tego, co ze mną jechał. On już wiedział ode mnie co planujemy, ale jemu to nie przeszkadzało i chciał mi pomóc. Ja miałem pas wojskowy

na spodniach, Jarzyło się nim opasał i bardzo był podobny do Ukraińca. Po polsku nie rozmawiał, a ja udawałem, że po polsku trochę rozmawiam, tak że się dogadaliśmy, że chodzi o trzy furmanki. Może to nie trwało pół godziny i już furmanki prowadziliśmy, żeby pojechały za nas. Ale w tym czasie co rozmawialiśmy z Niemcem, słyszała to kobieta. I wybrała się, żeby sołtysa ostrzec, że te furmanki nie muszą jechać. Ale się trochę spóźniła, bo spotkała się z nami jak już wracaliśmy. Zobaczyliśmy tę kobietę, jak szła w naszą stronę i mieliśmy złe przeczucia. Skierowała się do pierwszego wozu i się cofnęła, bo siedział na nim Jarzyło. Podeszła do drugiego wozu, coś powiedziała gospodarzowi, a on zawrócił, kobieta wsiadła na wóz i pojechała z nim do wioski. A te dwie furmanki zatrzymały się i też mają zamiar się zawrócić i na pewno by tak było, gdyby nie nadjechał ten Ukrainiec, co ze mną jechał. Zeskoczyłem z wozu i mówię mu, że mamy furmanki, a ta kobieta, co szła, wszystko nam popsuła. I mówię do niego:

- Postrasż ich.

I tak bez namysłu zrobił. Parę razy wystrzelił nad ich głowami i pokazał, żeby jechali. I już pojechali, tak że było na naszą korzyść. Skrzynki przełożyliśmy z trzech wozów na dwa i zameldowaliśmy Niemcowi, że już towar przełożony z naszych wozów na te wozy, co przyjechały. Nie wychodził oglądać. Napisał nam przepustkę i pojechał. Ale powiedział, że na moście w Różanie nas nie puszczą.

Odjechaliśmy parę kilometrów, zjechaliśmy od szosy kilkadziesiąt metrów, wypięliśmy konie od wozów, żeby się pasły i czekaliśmy do rana, żeby jechać do domu. Ja, pomimo młodego wieku, powiedziałem im:

- Niech dwóch śpi, a jeden pilnuje koni.

Ale oni tego nie słyszeli. Jarzyło poszedł spać w dziesiątek, mój sąsiad to mógł nie spać, on na sen był bardzo odporny, a ja położyłem się pod wozem. Po jakimś czasie sąsiad Szablowski mówi:

- Geniek! Wstań, bo twoich koni nie ma.

A jak wstałem, to mówi, że moje są tylko jego nie ma. Ale trochę pochodziliśmy i jego konie były, a pana Jarzyły i jego koni nie było. Jak się zaczęło rozwidniać, to i pan Jarzyło się znalazł, ale konie jego nie znalazły się nigdy.

Do mojego wozu uczepiliśmy wóz Jarzyły i przyciągnąłem go do Orła koło Róza. Tam go odczepiliśmy i Jarzyło miał go rozebrać i utopić, żeby ocalał chociaż wóz. A ja z Janem Szablowskim szczęśliwie powróciliśmy do domu, z końmi i wozami.

- Na miejscu dostaniemy broń – tak powiedział.

Walka z Niemcami na Czerwonym Borze miała miejsce 23 i 24 czerwca 1944r. Ale tę walkę wygrali Niemcy. Wiadomości były skąpe, prasa już nie działała, tylko co się można było dowiedzieć, to z ust do ust. Mówili, że w jeden dół pochowali 73 osoby. Ale ilu zginęło, to nikt na pewno nie wie.

Kilka już razy byłem tam, przy pomniku, na Czerwonym Borze w mundurze na uroczystości rocznicowej organizowanej zawsze w czerwcu. Za czasów radzieckiej okupacji, co się nazywała Polska Rzeczpospolita Ludowa, nikt nie mógł mówić o walce z Niemcami, bo ci ludzie którzy walczyli, to walczyli o wolną Polskę. A kto walczył o wolną Polskę, to był wrogiem Związku Radzieckiego i PRL-u. Dopiero po upadku komuny w Polsce, można było o tym mówić. Więc wybudowali pomnik na Czerwonym Borze, przy szosie Łomża – Zambrów.

W każdą rocznicę przyjeżdża tam kilkuset ludzi i jednostka wojskowa. Oficer czyta kilkadziesiąt nazwisk poległych, wzywa ich do apelu i oddawane są salwy honorowe. I na tym uroczystości się kończą.

W 2006 roku pomnik został przeniesiony do Wygody, przy kościele i tam jest bardzo ładnie. Pierwotna lokalizacja pomnika stanowiła duże utrudnienie w ruchu drogowym podczas uroczystości. Jeszcze trochę o tym Czerwonym Borze. Każdego roku są przemówienia o tym, co się tam działo. Ale to co mówią, trochę mi nie pasuje. Miałem kolegę, a czy go jeszcze mam, to nie wiem, czy żyje. Widziałem się z nim ponad 20 lat temu. W latach 49–51 razem siedzieliśmy na UB i w kamieniołomach byliśmy dobrymi kolegami. Miał do mnie zaufanie i opowiedział o walce partyzantów na Czerwonym Borze. Mówił, że był przy ciężkim karabinie maszynowym, kilkadziesiąt metrów od tego miejsca, w którym miał zatrzymać się pociąg tak, że jak będzie trzeba, to będzie osłaniał tych, co będą blisko wagonów, w razie jak wypadnie im się cofać.

Opowiadał:

- Pociąg się zatrzymał, a z pociągu wyskoczyło bardzo dużo wojska. I zaczęła się nierówna walka. A na mnie wskoczył pies i gryzie mnie za nogi. Nie miałem żadnych szans, żeby się obronić, ale zobaczył to któryś z kolegów i psa zabił. A mnie odprowadzili, wsadzili na furmankę i odwieźli. Tak, że już do dalszej walki nie byłem zdolny.

Prawdopodobnie jechała tym pociągiem pancerna dywizja na front wschodni. Ilu tam zginęło Niemców, to tylko Niemcy wiedzieli. A ilu zginęło Polaków, to też nikt nie wie.

Powróciłem z wyjazdu na obowiązkowe furmanki, a tu u nas, w Kiertanach, kopia bardzo głęboki rów. Cztery metry głęboki i dziesięć metrów szeroki. Kopie go bardzo dużo ludzi, na krótkim odcinku może parę setek osób. Są ludzie z Ostrołęki i z okolic, z Myszyńca,

Łysych i okolicznych wiosek. A ja w tym czasie byłem w domu, ale do kopania mnie nie gnali. Mieszkał u nas cały Urząd Gminy Łyse, dłużej jak tydzień. Była z nimi dziewczyna, Bolcia. Nazwiska jej nie znałem, bo się nie pytałem – nie pomyślałem, że może mi się przydać. Ja kosiłem jakieś zboże, ale nie pamiętam jakie, a Bolcia zbierała. Po kilku dniach odjechali dalej, a u nas przez pole został rów około 400 metrów długi.

Po paru dniach nakazali stawić się ze szpadlami do Miastkowa. To znaczyło, że gdzieś dalej wywożą. Matka moja mówi:

-Ty nie pójdziesz, tylko Janina, bo dziewczyny nigdzie nie wywożą, a ciebie mogą wywieźć. Nim zaczęli wywozić, to już dużo z naszej wioski uciekło i wróciło do domu, a Janiny nie ma, nie wróciła. - Mówiłem, że ja pójde, to nie. I co teraz? – mówię do matki – Pójdziemy do Miastkowa to ja za nią pojedę, a ją zwolnią do domu.

Matka na taką zamianę się zgodziła, ale ja nie byłem tego pewny, że ją zamienią.

I tak się stało. Doszliśmy do Miastkowa, to już wszystkie kobiety były na samochodzie. Samochód miał już odjechać, ale zobaczyli, że jeszcze jeden pracownik idzie i zaczęli czekać. Matka moja mówi, że przyprowadziła na zamianę, że ja pojedę za siostrę. Ale Niemiec tego nie słuchał, dał mi szpadel, co był przez kogoś rzucony i pokazał, żeby wchodzić na samochód. W skrzyni na samochodzie były same kobiety, tylko ja jeden z nimi. Samochód ruszył, a starsze kobiety zaczęły mocno płakać, ale ja do płaczu nie bardzo byłem skory. I zacząłem grać na harmonijce, żeby przeszedł im płacz, a one z buziami na mnie. Ale ja na to nie zważałem i grałem jeszcze głośniej. Tak, że jak dojeżdżaliśmy do Łomży, to dziewczyny już zaczęły się śmiać, a starsze kobiety przestały płakać. Zawieźli nas do Pniewa, tam też kopali taki głęboki rów. Wysadzili nas z samochodu i już kopaliśmy. Na wieczór zaprowadzili nas do Pniew, gdzie był dwór i tam nocowaliśmy. Spanie mieliśmy w oborze, bo krów już nie było. Spanie nie było wygodne, w żłobie nie można się było ułożyć, żeby usnąć. Ale jeszcze był wybór – można było się położyć i pod żłobem. No, pod żłobem było wygodnie, ale gdzieś po godzinie też było źle, bo oblażyły robaki, które były w oborniku. A kobiety spały gdzieś indziej. Rano zbiórka, śniadanie i do pracy. Na śniadanie dali kawałek chleba, zbożową gorzką kawę i sześć sztuk papierosów.

Od tego dworu, cośmy w nim spali, do pracy było kilkaset metrów. Przyszliśmy na miejsce i tak mi się udało, że byłem od siostry może 200 metrów, a przecież po to przyjechałem, żeby zmobilizować siostrę i jej koleżankę do ucieczki. Więc obserwowałem tego, co nas pilnował, żeby nie zauważył, że ja podchodzę bliżej lasu. Wreszcie doszedłem do tej grupy, w której była siostra i zaczynam mówić, co mają robić, żeby uciec. Po tych wskazówkach mówię, że ja już idę do lasu i będę na nich czekał. Wachman stał blisko mnie, a ja szpadel stawiam i

wychodzę z dołu koło niego i udaję, że rozpinam spodnie i odchodzę dalej. Tak, że on nie pomyślał, że ja uciekam. Odszedłem kilka metrów i go obserwuję, ale on w moją stronę w ogóle nie obejrzał się. Były tam buraki bardzo duże, tak że na czterech doszedłem do lasu. W lesie się podnoszę, ale nie było tak łatwo. W nocy popadał deszcz, a ziemia była gliniasta. Tak mocno się oblepiłem, że ledwie się podniosłem. Rozebrałem się i ubranie wytłukłem o drzewo tak, że dużo tej gliny odpadło. Rozwiesiłem ubranie na drzewie, usiadłem na pieńku nago i czekam żeby się wysuszyło. Zbliżała się pora obiadowa, musiałem się ubrać bo wiedziałem, że jak krzykną „mytak,” to się zrobi duży ruch i tak było. Jedni biegli do kotła, a drudzy do lasu. Ja stałem na brzegu lasu i patrzyłem, kiedy te moje dziewczyny będą uciekać. Ale jak zaczęły uciekać, to wachman zaczął strzelać i biec do lasu. Oskoczyłem w głąb lasu, ale słyszałem jak siostra krzyknęła:

- Geniek!

Odezwałem się głośno, ale odpowiedzi nie było. Uspokoilo się. Podeszedłem na brzeg lasu i obserwuję. Patrzę, a te moje dziewczyny dalej kopią, tak samo, jak poprzednio obie razem. Czekałem do końca pracy, bo myślałem, że moje dziewczyny uciekną, ale nie uciekły do wieczora. Jednak jak się później okazało, już uciekły w południe. O tym dowiedziałem się od znajomych dziewczyn, kiedy wróciłem na zbiórkę. Jak miałem wrócić na zbiórkę, to mnie spotkały trzy dziewczyny i bardzo mnie prosiły, żebym z nimi szedł. Były z Ostrołęki i były bardzo młode. Powiedziałem im, że nie mogę, bo przyjechałem po siostrę, a one mnie przekonywały:

- Siostra już uciekła.

Ale im nie uwierzyłem i pozostawiłem je w lesie na noc. Wieczorem nie było mi wesoło, martwiłem się jak te dziewczyny doszły. Mało spałem, tylko obmyślałem plan ucieczki i w końcu obmyśliłem taki, który powinien się udać. Rano zbiórka, kawa, chleb i sześć papierosów i idziemy kopać ustawieni w piątki. W mojej piątce było nas z Kiertan czterech, najmłodszy miał 14 lat, drugi 15 lat, trzeci 24 lata, a ja 20 lat. Z tego dworu do kopania było może 1000 metrów. Droga była obsadzona akacją tak, że od ziemi było dużo niskich krzewów. Mój plan był taki, żeby w czasie marszu skryć się za krzaki i zostać i udało się. Ci co nas prowadzili byli w odległości może 20 metrów jeden od drugiego. W czasie tego marszu obserwowałem tego z tyłu, kiedy się obejrzy do tyłu. A jak się obejrzał, to ja w jednej sekundzie wskoczyłem za krzak, tak że on mnie nie widział. Ale w razie czego jakby zobaczyli, to się zabezpieczyłem tak, żeby nie byli pewni, że uciekam, to spuściłem spodnie i siedzę. Kolumna poszła dalej, a ja już prawie pewien, że jestem wolny. Nie wyszedłem jeszcze z za tego krzewu i słyszę, że jedzie furmanka. Pomyślałem, że wejdę na furmankę i z tego miejsca podjadę, ale czekam aż ją dobrze zobaczę.

Podjechała, a na niej siedzi Niemiec i trzyma na kolanach strzelbę. Furmanka odjechała, a ja wyszedłem zza tego krzewu i musiałem iść w przeciwnym kierunku, żeby ominąć ten rów. Doszedłem do szosy, przez którą musiałem przejść. Dojście do szosy nie było takie trudne, bo na polu stało bardzo dużo dziesiątków, za którymi można się było kryć. Z jednej strony na szosie było wzniesienie takie, że dalej nie było widać. Przeszedłem przez szosę kilka metrów, a tu zza góry wyjeżdżają żandarmi, udają, że ich nie widzę i zaczynam wiązać owies, który był skoszony. Obejrzeni się za mną i pojechali. A ja już byłem blisko lasu, wszedłem w las i czułem się bezpieczniej.

W lesie było dużo porozciąganych kabli. Szedłem przez las parę godzin. Zacząłem myśleć, czy nie chodzę w koło, ale patrzyłem na drzewa, to już byłem pewien, że idę w jednym kierunku. Uczyli mnie w szkole, że jak się jest w lesie, a nie ma się kompasu to można określić kierunek północny, ponieważ na drzewach od północnej strony rośnie mech. I w końcu już widzę, że las się kończy, mam kilkadziesiąt metrów do pola. Nagle usłyszałem szelest, patrzę, widzę dwóch Niemców, a przy nich dwa duże psy. Nie wiem z jakiego powodu jeden zaczął te psy bić, zaczęły skomleć, a ja w tym czasie odskoczyłem w bok i natrafiłem rów, w który wszedłem i szybko odskoczyłem w bok, gdzie już była droga. Wszedłem na drogę i już wychodzę z lasu. Podszedłem kawałek drogi, patrzę jak koszą żyto. Podszedłem do nich i się pytam co to za wioska. Mówią, że Koziki. Spytałem się ich jak trzeba iść, żeby dojść do Szczepankowa. Powiedzieli mi i poszedłem tak, że na południe byłem w domu. A moja siostra była już jedną noc w domu wcześniej ode mnie i jej koleżanka też już była w domu. Jak uciekły do lasu, to natrafiły na Niemców tak, że się rozłączyły i każda poszła z kimś innym.

Jak byłem w Pniewie, to w nocy było słyhać wystrzały z armat. Było wiadomo, że front się zbliża. Pomyślałem, że trzeba zrobić wódkę. Zrobiłem zacier z 15kg razówki. Po paru dniach zacząłem pędzić bimber. Już zaczął lecieć, więc wyszedłem po drewno na podwórko, patrzę a od Leopoldowa idzie dwóch Niemców z karabinami na plecach. Była to niespodzianka, bo żołnierzy do tej pory się u nas nie spotykało, tylko żandarmów. Stałem za chlewami i się na nich patrzę, my mieszkaliśmy przy samej drodze, to do nas zaszli. Karabiny zdjęli z pleców, powiesili na płocie i pasy z ładownicami też i weszli do mieszkania i ja zaraz za nimi, bo już wiedziałem, że oni mi krzywdy nie zrobią. Dokładam do ognia, żeby utrzymać temperaturę, jaka jest potrzebna. Jeden z nich położył się na łóżko i usnął, a drugi poszedł dalej na wieś. Coś mnie niepokoiło, bo co moment wychodzę na dwór i się rozglądam. Patrzę, a od Leopoldowa idzie grupa Niemców, domyśliłem się, że idą za nimi. Karabiny przewiesiłem tak, żeby nie było ich widać z drogi. Znow stanąłem za chlewami i patrzę, ale oni się obejrzeni, że to takie lice mieszkanie i poszli dalej do wioski. A ja znow do mieszkania i reguluję ogień. Tak byłem zajęty

ogniem, że nie zauważyłem, jak weszli do mieszkania. Jeden z nich spojrzął na tą moją robotę i już wiedział, co się robi. Powiedział: - Sznaps? Odpowiedziałem:- Ja.

Krzyknął na tego, co spał. On wstał i wyszli na dwór. Okazało się, że ten drugi, co poszedł na wieś, spotkał się z tymi co za nimi szli i przyprowadził ich do mojego domu. W karabinach w lufach były naboje, to ten co był ich dowódcą, wystrzelił, powyjmował zamki, a karabiny zarzucił oba jednemu na głowę. I zaczął mnie przepytować. Mówi do mnie, czy wiem, że nie wolno sznapsa robić? Powiedziałem, że wiem, ale mi kazali żandarmi, żeby im zrobić. Ale on tego nie słuchał. Powiedział:

- Ubierajcie się. Pójdziecie z nami.

W domu rozpoczął się lament. Matka i babcia zaczęły lamentować i go prosić:

- Panie, to nasz cały gospodarz.

Ale on tego nie słuchał, było to na dworze. Zgarnął mnie za kark i jak popchnął, to musiałem dobrze zbierać nogi, żeby nie zaorać nosem o ziemię. Zabrali mnie ze sobą na wieś. Stałem koło płotu, a oni ze sobą rozmawiali. Przynieśli mi buty i marynarkę. Ubrałem się i czekam, co dalej. Z tej ich mowy wywnioskowałem, że na Różanie kopią okopy i mnie tam odwiozą. Pomyślałem „zawieźcie, a ja i tak za dwa dni wrócę”. Zapisali moje imię i adres, powiedzieli:

- Idź do domu.

Poszedłem robić to co wcześniej zacząłem. Udało się dobrze. Było pięć litrów dosyć mocnej wódki. Schowałem ją dobrze, a zostawiłem tylko dwie ćwiartki. Za trzy, czy cztery dni przyjechali Niemcy we czterech konno. Poznałem ich, że są ci sami, co już byli, tylko nie siedmiu, a czterech. Zawołali mnie, żeby koniom dać wody. Zacząłem wodę czerpać, a jeden mnie się pyta:

- Maszyna sznaps.

Mówię, że jest na polu. Ale jeden z nich mówił po polsku i powiedział, że nie o maszynę chodzi, tylko o sznaps. Powiedziałem im, że jak mnie zabrali, to matka z babcią wszystko powylewały, a zostało tylko to coście widzieli. Uwierzyli mi. Przyszli do mieszkania, pokazałem im, ile jest i oddaję. Wzięli, ale z każdej butelki musiałem się napić. Jedną wypili podając sobie z rąk do rąk, po łyku, aż została pusta, a drugą wzięli ze sobą. Zapytali się, czy mamy kwaśne mleko i było. Pojedli tego mleka z chlebem, dali mi papierosy i powiedzieli, żeby zrobić, to jeszcze przyjadą. Powiedziałem im, że robić to już nie będę, ale na mleko to mogą przyjechać. Ale jak pojechali, to już minęło prawie 64 lata, a ich nie ma.

Pamiętam, że jest mniej więcej około połowy sierpnia. Ostatnie parę dni była cisza, ale już się skończyła. Jak tylko zapadał zmierzch, to przylatywały „Stalina organy”, tak Niemcy nazywali samoloty, które tak perkotały. Jak przyleciały, to zapalały się nad ziemią lampy, które

tak świeciły, że było widać jak w dzień. Trzeba było się kryć, bo jak zobaczyli, że się coś rusza, to strzelali z maszynowych karabinów, a często zrzucali bomby małego kalibru, takiej wielkości jak półlitrowa butelka.

Mój ojciec spał w stodole i pewnego razu kukuruźnik na stodołę zrzucił kilka bomb. Dobrze, że nie były zapalające. W dachu zrobiły się cztery dziury. Koło stodoły było też parę znaków po bombach. Wielkie szczęście, że ojciec spał na brzuchu. Dostał odłamkami po głowie, plecach i po nogach, tak że sam nie mógł chodzić. Jak trzeba było go przenieść, to brałem go na tak zwanego „barana”. O lekarzu nie było mowy, ani o lekach.

Ale o lekach pomyślałem parę dni wcześniej, tak jak już to napisałem. Matka moja lniane szmatki maczała w spirytusie mojej produkcji i okładała ojcu rany. A że rany nie były groźne, to się szybko zagoiły, tak że już po kilku dniach ojciec poruszał się sam. Najgorzej bolała go jedna noga, nie chciała się zagoić. Po paru miesiącach ta boląca łydka zaczęła go swędzieć. Zaczął drapać i wydrapał kawałek żelaza i wkrótce rana się zagoiła.

I znów cofam się do tego czasu, jak jeszcze ojciec nie był ranny. Widać było, że walki są już blisko, a mieliśmy sporo inwentarza i dużą beczkę do kapusty taką, że mogła pomieścić do trzystu litrów. Zapadła decyzja, żeby beczkę napęlnić solonym mięsem. Zabiliśmy cztery świniaki, cztery owieczki i jałówkę. Matka z tego mięsa powykrawała kości. Ja na polu wykopałem dla tej beczki dół i beczka została napęlniona mięsem bez kości. Jak wkładaliśmy mięso do beczki, to się pojawił, nie wiadomo skąd, Niemiec na koniu. Spojrzał, co robimy i bez słowa odjechał. Beczkę starałem się dobrze zamaskować i zaorać pługiem, tak że beczka przetrzymała wojnę, a my mieliśmy co jeść.

Na parę dni przed przyjściem Sowietów, w naszym lesie pojawiły się Niemieckie tabory, stały tam parę dni. Wieś naszą odwiedzali Niemcy dość często, łapali kury, a jak znaleźli tucznika, to też go zabrali, a nawet i jałówkę. Żywności sobie nie żalowali. Pewnego razu do sąsiada zwieźli pszenicę z pola do stodoły i ją omłócili. Nasypali w worki, zabrali i odjechali, ale słoma została na dworze, blisko nas.

Gdy w lesie stały tabory, to było niebezpiecznie. Dość często przylatywały radzieckie myśliwce, opuszczały się nad sam las i strzelały. Pamiętam jak w 1944 roku trzeciego września przyszło do naszej wioski kilku żołnierzy niemieckich, było to około południa. Rozstawili przy piwnicach moździerze i od czasu do czasu z nich strzelali. Było ich mało, trzy moździerze w Kiertanach. Pytałem się jednego z nich, czy długo tu będą. Powiedział mi, że dotąd dopóki nie wybiją tych co są w okopach. Czwartego września, około południa, zauważyłem rosyjski samolot. Przyleciał nad niemieckie okopy i wystrzelił raketę. Po kilku minutach Rosjanie zaczęli strzelać w to miejsce z dział różnego kalibru, tak że nie można było rozróżnić z czego

strzelają. Wszystkie wystrzały zlewały się w jeden huk. Trwało to parę minut. Widzę jak Niemcy rozbierają moździerz, zakładają na plecy i uciekają. Jak odeszli kilkadziesiąt metrów, to podpalili wieś. Strzelali z ręcznego karabinu zapalającymi pociskami. Widziałem, jak się zapalała u sąsiadów stodoła, bo ja nie siedziałem w ukryciu, jak inni. W przeciągu kilku minut cała stodoła była w ogniu, bo była kryta słomą, tak jak wszystkie stodoły w tych latach. Zapaliła się i słoma, która leżała blisko naszego domu. Moja matka powynosiła z naszej stodoły lnianą słomę, która miała bardzo dobre włókno, ale nie wiedziała, że ją kładzie w ogień. Pokładła tę słomę za piwnicę, bliżej tej słomy, co leżała u sąsiada. U nas w piwnicy siedziały trzy rodziny, kilkanaście osób. Okienka pozatykane były piórami i wełną, po to żeby im nie wpadł pocisk. Ale jak się zapaliła słoma na piwnicy i te pióra w okienkach, mieli bardzo dużo dymu w piwnicy. Ja, ile mogłem, to tej słomy z ognia powyciągałem, bo była blisko naszych chlewów drewnianych, krytych słomą. Wcześniej jeszcze poodtykałem okienka w piwnicy. Jak skończyłem tę robotę, usłyszałem jak kulki świszczą, schowałem się za chlewy i patrzę jak Niemcy uciekają. Zaglądam do piwnicy, a tam mieszkańcy piwnicy leżą na podłodze i każdy głowę trzyma w jakimś tam naczyniu. Mówię do nich:

- Dlaczego nie wyszliście na dwór?

Kulki świstały, a ja ich nie słyszałem. Czwartego września 1944 roku, po 38 miesiącach skończyła się okupacja niemiecka i zaczęła się radziecka. Miało to być wyzwolenie, ale naprawdę to było zniewolenie.

Okupacja radziecka po raz drugi od 1944 roku

Wyszedłem z piwnicy na podwórko. Usłyszałem głos, obejrzałem się i zobaczyłem radzieckich żołnierzy. Zawołali mnie i mówią, żeby im podać wody. Poszedłem do studni, nabrałem wiadro wody i zaniósłem im razem z kubkiem. Było ich trzech. Ciągnęli ciężki karabin maszynowy na kółkach, byli z gołymi głowami. Jeszcze ci trzej nie odeszli, a paru następnych doszło. Powiedzieli mi, że na kolonii zabili sześciu Niemców. A Niemcy byli w domu tych ludzi, którzy siedzieli u nas w piwnicy. A do tych budynków na kolonii było może 400 metrów. Napili się wody i poszli dalej, a ja zaniósłem wiadro i biegiem do tych zabitych Niemców. Pomyślałem, że może znajdę pistolet. Dobiegam do tych budynków, patrzę – kurz, to znaczyło, że upadł pocisk. Upadłem, pocisk się rozerwał. Wstałem i biegnę dalej. Już byłem na podwórku – drugi raz zakurzyło się. Znow padłem, pocisk się rozerwał niedaleko mnie, miałem szczęście, bo żaden odłamek mnie nie trafił. Wszedłem do takiego dołu, co był wykopany do ziemniaków. Z jednego brzegu było wejście, a nad całym dołem były postawione krokwie, nakryte słomą i obsypane ziemią. Wszedłem do tego schowka i się zdziwiłem, jak

mnie okłamali. Wcześniej tam byli Niemcy, ale uciekli. Zostawili dwie paczki cygar i kabel od telefonu. Popatrzyłem, że taki kabel, to w gospodarce na coś się przyda. Zacząłem go ciągnąć. Jużem go niemało naciągnął, a później co go pociągnę, to on mi się z powrotem cofa. Myślę, że się zaczepił o krzak i ciągnę jeszcze mocniej. Ale pomyślałem, żeby wyjść, bo może zaczepił się blisko. Spojrzałem do wyjścia, a tu widzę lufę od pepeszy. Krzyknąłem bardzo głośno:

- Towaryszcz, nie strelaj! Zdies chadzajen.

Wchodzi żołnierz prawie, że dziecko i pyta się mnie na co mnie nužen ten kabel.

- Nužen. German postrojkie na łoszac zabrał i dlatego mnie to nużne.

A on mówi, że im trzeba słuchać. Ale w końcu towarzyszcz mówi: - Dawaj, po połom. I ja na to przystałem. Mówię: - No dawaj, po połom. Przetłukliśmy na kamieniu i każdy wziął swoje. On poszedł, a ja schowałem kabel i wychodzę z dołu. Zapaliłem cygaro, wyszedłem na podwórkę i słyszę głos:

- Zdrawstuj chadzajen!

Patrzę, a tu jakiś oficer, ale ja ich stopni jeszcze nie znałem, ale już wiem, że był to kapitan. Trzymał mapę w ręku i pokazuje mi co już zajęli. I mówi mi, że będzie „Polskie Prawicielstwo”.

- Wandę Wasilewską to ty znasz?

A ja mu mówię, że jeszcze nie widziałem. Ja palę cygaro, a on się tak apetycznie przygląda, pytam go: „chcesz zakuric”, powiedział „da”, to poczęstowałem go, powiedział „spasiba” i paszoł wpierod. Obejrzałem się na pole, a tu z lasu wyszło tyle wojska, jakby to było stado owiec. Muślę, to tylko moja zasługa, że Koneckiemu popsuli dom drewniany. Uderzyły w niego trzy pociski, a chyba dlatego, że zobaczyli, że ktoś tam chodzi i dlatego strzelali. Wracam od Koneckich do domu patrzę jak się okopują, przechodzę koło nich, a oni krzyczą: „łozyjssa, bo ciebia German ubije”. Ala ja się nie kładłem, bo Niemcy nie strzelali. Podszedłem bliżej domu, a tu leży zabity baran, wziąłem go na plecy i niosę go do domu. Jak już pisałem, to bardzo blisko koło stodoły był wykopany głęboki rów. Pomimo, że już w nim były porobione schodki, to jeszcze z baranem na plecach wyjście z niego nie było łatwe tak że opóźnione wyjście z rowu darowało mi życie. Jeszcze nie wyszedłem z rowu, a w stodołę uderzył pocisk. A gdybym wyszedł z rowu parę sekund wcześniej, to by uderzył we mnie. Zaniołem barana do domu, zdjąłem skórę i wyrzuciłem środek, a reszta należała do mojej matki. Niemcy odeszli za Narew, a Rosjanie doszli do Narwi i tak się zatrzymali do 17-go stycznia 1945 roku. Rosjanie kilka kilometrów od rzeki wysiedlali ludność z wiosek. Mówili, żeby jechać do Śniadowa, ale w okolicy Śniadowa najechało się tyle ludzi, że tamci mieszkańcy nie byli nimi zachwyceni.

I zaczęli z powrotem wracać i kopać ziemianki w lesie, żeby było można schronić się przed zimą. Wojska Radzieckiego u nas było bardzo dużo. Nakopali w lesie dużo ziemianek i wieś prawie że opuścili. Nas też często namawiali żeby wyjechać, atakowali mnie, bo rany ojca się jeszcze nie wygoiły, a reszta rodziny to były małe dzieci i stara babcia, tak że tylko rozmawiali ze mną. Jak zauważyłem, że już idą to szedłem do mieszkania, a w mieszkaniu byli żołnierze co się z nimi znałem. To oni mi mówili, żeby się schować bo jak przyjdą, to pokrzyczą i pójdą i tak było. Przychodzili jeszcze parę razy, ale pytali tylko o mnie. Jak przyszedł jeden z nich, żeby namówić na wyjazd, to ja byłem w piwnicy. Pamiętam, że jadłem zupę, bo na naszym podwórku stały kuchnie, tak że czasem kucharz przyniósł zupy. I jem tę zupę, przychodzi szeregowy bojec i mówi ujeżdżaj, a ja mówię, że nie mam gdzie. Ale on sam zaczął z piwnicy wnosić różne rzeczy, aż w końcu babci pierzynę, babcia uczepiła się pierzyny i mocno jej broniła, a nasz wyzwoliciel babcię pchnął. Tak że mi puściły nerwy i skoczyłem do niego, a on do mnie i za automat (*pistolet maszynowy*), ale z tej szybkości zamiast do mnie lufą, to wystawił kolbę i mówi: „chcesz dziewiąć gram pouczyć”. A ja do niego mówię: „strelaj”. Ale on wybiegł z piwnicy i przyprowadził lejtnanta. Przyszedł z lejtnantem, pokazuje na mnie i mówi: „ten na mnie zamachnołsa”. Lejtnant mówi do mnie: „co ty krepki, ty widział kaka German przed nami udziera”. A ja się tłumaczę: „ja nie krepki, ja na was czekałem, że to przyjdą ludzie, a wy co z nami robicie, skoro babuchnę trącać”. Moja siostra Halina, o sześć lat młodsza ode mnie bardzo się przestraszyła, cała się trzęsła ze strachu, tak że zwróciła na siebie uwagę towarzysza lejtnanta. I zrobiło mu się jej żal, powiedział żeby się uspokoiła, że nigdzie nie będziemy wyjeżdżać. Będziecie mieszkali tu. Po wejściu wojsk radzieckich w 1944 roku, w krótkim czasie nastąpiły aresztowania. Z sąsiednich wiosek kilka osób aresztowali i żadna z tych osób nigdy nie wróciła do domu. Pewne jest, że lista osób niewygodnych dla ZSRR, sporządzona została przez sowieckich agentów i po wejściu „wyzwolicieli” wiedzieli już kim mają się zająć. Taki los spotkał mojego znajomego Kazimierza Lachowskiego. Należeliśmy „za Niemców” do tej samej organizacji. Jak go zabrali, to zginął, jak kamień w wodę.

Z Rosjanami dużo rozmawiałem, byli bardzo ciekawi, jak u nas się żyło. Starłem się im opowiadać, lepiej niż było. O Związku Radzieckim oficerowie opowiadali, ale z nich był tylko jeden, co mówił prawdę. Tych rozmów z nimi było dużo i nie z jednym rozmawiałem, a jak było ich dwóch, to rozmowy nie było. Jeden w stopniu majora opowiedział mi, że u nas będą kołchozy, ale starajcie się uciec do miasta. W mieście jeszcze jako tako można żyć, ale w kołchozie to bieda, bieda i bieda. Pamiętam, że tego majora odwiedziła żona. Przywiozła mu parę pieczonych kartofli, rozwija je z jakiejś szmaty, w pierwszej chwili się nie zorientował co

ona odwijają z tej szmaty, a jak zobaczył, to krzyknął „broś”. A ona mówi, że to kartoszka. I wytłumaczył się dlaczego w Związku Radzieckim są tak cenne kartofle. Po zasadzeniu wojsko pilnuje tego pola, ale i tak sadzeniaki wybiorą i dlatego tak mało. Skoro już mowa o majorze, to jeszcze parę słów o nim i zakończę. W 1946 roku jestem na podwórku, a na koniu podjeżdża major, „zdrastwuj chadziain”, a ja „zdrastwuj major”. Powiedział, że Germana już zawojowali, a ja mówię „charaszo”. I zaczyna mi opowiadać: „u was, w Polsce bardzo dobrze, ale żebyś widział u Niemca” i ujął się dwiema rękami za głowę, pokręcił to w prawo, to w lewą stronę i powiedział: „na co mu była wojna, u nas też kołchozów nie będzie”. Powiedział do widzenia i odjechał. Ale on nie wiedział, że na granicy będzie rozbrojony. Te wojska, co wracały z Niemiec, na granicy były rozbrajane i wysyłano ich za druty, do obozów. Słysząc było takie pogłoski, że jakiś generał nie dał się rozbroić, ale długo się nie utrzymał. U nas już w listopadzie wojska we wsi nie było, mieszkali w lesie w ziemniakach. Tylko w naszym domu mieszkało trzech żołnierzy, a dlatego, że nakopali ziemniaków i u nas zrobili dwa kopce, których pilnowali aż do końca marca. Jak Rosjanie mieli w styczniu uderzyć na Niemców, to najpierw wysłali zwiad – dwóch żołnierzy, którzy nie wrócili. Wysłali pięciu i też nie wrócili. Przyjechał lejtnant po starszynę, który mieszkał u nas. Tak się ten starszyna przejął, że nie chciał już zabrać menażki i łyżki, tylko gadał: „ja już nażył”. Ale ja mu menażkę przypiąłem do pasa, a łyżkę wsadziłem mu za cholewę do buta i pojechał, ale nie wiem co z nim się stało. Do pilnowania ziemniaków pozostało dwóch żołnierzy. Jak Armia Radziecka ruszyła 17-go stycznia 1945 roku, to zatrzymała się na początku maja, aż w Berlinie. A ci dwaj zostali bez łączności i żywności. Żywili się u nas, nasza rodzina składała się z 10 osób i dla tych dwóch też starczyło. Jeden był w moim wieku, Pasza Kisielow z Syberii, tak że tego mrozu co był u nas to on go w ogóle nie odczuwał. Rano chodził do strumyka, rozebrany do pasa i w lodowatej wodzie się wypluskał i przychodzi taki czerwony i mówił czuje się jak w lecie. A drugi był od niego parę lat starszy, ale z ciepłych stron, to jemu zawsze było zimno. Siedział przy piecu i ręce zacierał i mówił: „charaszo przy piecku wojować”. Z Paszą Kisielowem mieszkaliśmy prawie siedem miesięcy, tak się do siebie przyzwyczailiśmy jak by był moim krewnym. Jeździłem do lasu po drewno z jego automatem, strzelałem kiedy tylko chciałem, bo naboju było bardzo dużo, tak że nie musieli się z nich rozliczać. A ten starszy nigdzie z nami nie jeździł, jemu zawsze było zimno. Po kilku miesiącach dostał od żony list. Pytam się go: „co u niej dobrego”. Powiedział, że pracuje w fabryce amunicji, ale przez dzień na kilo chleba nie zarobi. Pasza adres do mnie znał na pamięć, obiecywał, że będzie do mnie pisał, jak będzie to tylko możliwe. Ale nie napisał nigdy. Do wojska go powołali jak miał szesnaście lat. Trzy razy był ranny. Pytam go dlaczego nie ma medali, a on mi powiedział: „u nas, żeby dostać medal, to

trzeba kogoś podpieprzyć, a to nie w moim stylu”. Opowiadał mi dużo o walkach na froncie. Jak strzelał do Niemca w okopie, a on się nie krył, podchodzi do niego, a on sztywny, zamarzył na kość. I mówił, że jak dostają rozkaz, że muszą to zdobyć, to ilu zginie, to się nie liczy. Jeszcze mi mówił, że jak mieli iść do ataku, to dostali „gorielki” i musieli atakować. Tak, że nie było wyboru. A jak ktoś zaczął coś kombinować, żeby się jakoś schronić, to został zastrzelony przez N.K.W.D., którzy szli z tyłu i obserwowali. Pod koniec marca przyjechali po tych żołnierzy. Okazało się, że o nich nie zapomnieli. Zajechali samochodem nie do nas, bo wiedzieli, że u nas nie będzie gdzie przenocować. A tam gdzie zajechali, to miejsce znał lejtnant. Pasza w samochodzie znalazł towar na buty, przyniósł go dla mnie, tak bardzo zadowolony, że może mi coś podarować. Towar ten dałem do szewca, żeby mi go złożył. Wyszły z tego towaru bardzo ładne buty. Zacząłem je nosić, ale byłem w nich bardzo „znaczny”, bo były żółte. Mówili o mnie „ten w żółtych butach”, a ja nie chciałem być taki widoczny, więc dałem je do szewca i przemalował je na czarne.

Jak ci dwaj żołnierze odjeżdżali od nas, to ja i jeszcze dwóch ludzi zabraliśmy się z nimi z zamiarem, że może gdzieś znajdziemy krowy. Bo, gdy Niemcy odchodzili od nas, to wszystkie krowy, konie i ludzi gnali za Narew. Kilku Niemców na koniach jeździło i wszystko razem gnali za rzekę. Ludzi wypędzić to nie było takie łatwe, kryli się gdzie kto mógł, tak że ludzie szybko wracali do domu. Wszystkim się nie udało od razu, niektórzy wracali po kilku miesiącach, a byli i tacy, co nie wrócili nigdy. Odjechaliśmy w głąb Prus kilka kilometrów. Samochód się zatrzymał lejtnant powiedział, że tu krowy można znaleźć. I ruszyliśmy na poszukiwanie w drodze powrotnej. Tam jest dużo zabudowań po koloniach i tak te zabudowania odwiedzaliśmy. Ale nic żywego nie można było spotkać. Zeszło nam do wieczora i szukamy, żeby wejść do budynków na noc. Doszliśmy do budynków, ale wyczuliśmy, że tu musi ktoś być. Zapukaliśmy do drzwi raz, dwa, a za trzecim razem słysząc, że ktoś idzie, otworzyła drzwi starsza kobieta. Jak zobaczyła, że my nie Ruskie, to się bardzo ucieszyła, ale i my co byliśmy po przeciwnej stronie, też się ucieszyliśmy. Bo woleliśmy zobaczyć starszą kobietę, niż lufę automatu. Bo jak się dowiedzieliśmy, to takie wypadki się zdarzały. Zaprosiła nas do mieszkania. W mieszkaniu był starszy mężczyzna i kobieta około czterdziestu lat i czterech chłopców około 10-12 lat. Nie mówiliśmy im, że przyszliśmy w poszukiwaniu krów, tylko że Rosjanie wzięli nas na furmanki, myśleliśmy, że nas zwolnią, ale tego nam nie obiecywali. A my zrzekliśmy się koni i wozów i uciekliśmy. Dali nam kolację, więc dobrze się najedliśmy. Pytaliśmy się tę kobietę o jej męża, bo czuliśmy, że on też jest w domu. Powiedziała, że jak wojsko niemieckie się wycofywało, to on ich odwiedził. Po jej mowie

można było wyczuć, że on został w domu, raz jak o nim mówiła, to płakała, a innym razem się śmiała.

Dali nam szerokie łóżko, tak że we trzech było nam luźno i ciepło. Rano dali nam śniadanie i poszliśmy dalej. I znów zaszliśmy do zabudowania, stoimy na podwórku i się rozglądamy. Wychodzi z mieszkania starszy człowiek – pytamy się go, czy od Ruskich nie można kupić krów. Powiedział, że można kupić za wódkę, ale my wódki nie mamy. Pytamy się go czy ma żytnią mąkę, powiedział, że ma, a drożdże, powiedział, że się znajdują. Jeszcze nie uzgodniliśmy jak i co, a na podwórko zajeżdża dwóch towarzyszy na koniach. To, co oni mówili do nas po rosyjsku to, napiszę po polsku.

Przyszliście kraść, a czemu nie jesteście w wojsku, my za was krew przelewamy, a wy przyszliście kraść. Popędzili nas przed końmi, jeden z nich się odłączył i pojechał w inną stronę, a drugi nas zapędził do dużego drewnianego budynku, który stał blisko lasu. Zostawił nas przy tym budynku i poszedł na górę w tym budynku. A przy tym budynku stał żołnierz w mundurze radzieckim. Pyta się nas skąd jesteśmy, powiedziałem mu, że od Łomży. A on był Polakiem i powiedział, chłopcy uciekajcie, bo oni was zastrzelą. Ja będę strzelał, ale w was nie trafię. Ta rozmowa z tym żołnierzem trwała kilkadziesiąt sekund, a za następne kilka sekund, byliśmy już w lesie. Strzelał tak, jak powiedział. On był gdzieś z okolic Tarnowa. Po wyjściu z lasu powiedziałem do tych swoich kumpli, że ja już tu niczego nie będę szukał, idę do domu i się od nich odłączyłem. Tak, że już z nimi, to się dopiero zobaczyłem w domu. Ale jeszcze jedno zabudowanie odwiedziłem. Zaszedłem do niego – nikogo tam nie było. W mieszkaniu było porozrzucane, ale co w tym mieszkaniu było, to i zostało. Maszyna do szycia też leżała i nie dokończona robota. Pomyślałem sobie, że tę maszynę wezmę. Znalazłem coś takiego żeby ją oderwać od stołu. Uszykowałem sobie taki plecak, żeby było ją dobrze nieść. I jestem zadowolony, że nie ma krowy, ale maszyna też się przyda. Na wieczór dołączyłem się do grupy, w której było kilka osób i razem z nimi spędziłem noc. Rano wyszedłem i idę do domu. Doszedłem do miejscowości Rozogi. W Rozogach już była Milicja Obywatelska, jeszcze w cywilnych ubraniach, ale mieli na rękawach opaski, na których pisało „Milicja Obywatelska”. Doszedłem do nich, zatrzymali mnie, zobaczyli, że mam maszynę do szycia i mi ją zabrali. W tym czasie wracali ludzie z Prus, co byli wywiezieni na roboty. Każdy, kto wracał po kilku latach, to cały swój majątek wiózł na dziecinnym wózku. Ale MO przeglądało to dokładnie i co im pasowało, to zabierali. Tak zaczęli umacniać władzę ludową. Gdzie były jeszcze całe szyby w oknach, to wybijali je kolbami karabinów. Tak naprawdę, to mi ulżyli w tym powrocie do domu, bo zabrali ten ciężki plecak z maszyną do szycia i już nie musiałem niczego nieść. Na wieczór byłem w miejscowości Łyse. Przypomniała mi się Bolcia, ale nazwiska jej nie

znałem. Spotkałem w Łysych jednego człowieka pytam – pomyślał zakręcił głową i powiedział, że nie wie. Spotkałem drugiego powiedziałem, że na imię ma Bolcia, ten powiedział, że to Minarczykówna. Poszedłem dalej i pytam się o Minarczyków. Pokazali mi, gdzie mieszkają Minarczykowie – wszedłem do domu i się rozglądałem, ale nic nie widzę, pytam się, czy tu mieszka Bolcia. Powiedzieli mi, że u drugich Minarczyków. Pokazali, gdzie mieszkają i poszedłem. Jak wszedłem do tego mieszkania powiedziałem „pochwalonka” i „dobry wieczór”. Rozglądałem się, a po chwili mówię, że może kogoś poznam, ale Bolcia poznała mnie pierwsza i się uśmiechnęła, a jak się uśmiechnęła, to i ja ją poznałem. Powiedziała: „mamo, to ten, co Ci o tych ludziach opowiadałam”. Dostałem kolację i nocleg, a rano śniadanie. Z Bolcią opowiedzieliśmy sobie jak przeżyliśmy do końca wojny. W ich rodzinie też mieli smutek, ponieważ jej brata, który pracował w tartaku zabrali Niemcy ze sobą, jak się wycofywali. Na wieczór już byłem w domu. Z tej wyprawy miałem sznur od maszyny do szycia i igłę. A ci moi współnicy – jeden przyprowadził dziecięcy wózek, a drugi nic. Chodzić na wyprawę po krowy, to już było za późno, bo już były pozbierane w różne miejsca i pilnowane przez wojsko. Krowę można było kupić od sowietów za wódkę, czyli samogon, ale my „goriełki” ze sobą nie mieliśmy.

Rok 1945 – wiosna, zmiana okupacji z niemieckiej na radziecką. Ta zmiana nas nie ucieszyła i zaczęliśmy utrudniać funkcjonowanie tej władzy w czym tylko mogliśmy. Zaczęli zabierać do milicji, ale jak już założyli posterunek Milicji Obywatelskiej w jakiejś miejscowości, to ludzie z lasu – partyzanci, przeważnie w nocy na niego napadali i niszczyli. Ochotników do wstępowania w szeregi milicji w pierwszym okresie nie było dużo z obawy o swoje życie. Ale ludzi nie ma niezastąpionych, jednych rozganiali, a drudzy się zgłaszali. Komendantem milicji był często Żyd, albo Rosjanin w polskim mundurze. Organizowanie milicji odbywało się na zasadzie, kto się zgłosił, to tego przyjmowali. Było również dużo takich osób, że po zorientowaniu się jaka to milicja, to z niej uciekali, bo nie chcieli w takiej milicji służyć. A za ucieczkę z milicji, to było pięć lat więzienia. Jeszcze w 1949 roku bardzo dużo ludzi siedziało za dezercję z milicji. W tym czasie też dużo siedziało chłopców z wojska za samowolne oddalenie się z koszar. Żołnierze zamiast służyć w wojsku dostali po pięć lat więzienia i pracowali w kamieniołomach w kopalni gliny i węgla. Myśmy często dostawali wiadomość, że mają po nas przyjechać, żeby nas aresztować. Parę razy wychodziłem im na spotkanie, ale nie przyjechali. Przyjechali aresztować do Wierzbowa, we wrześniu, aresztowali kilka osób, ale aresztowanych udało się odbić. Na naszym terenie, to był pierwszy bój z ubowcami. Ilu tam aresztowali, to ja nie wiem, ilu zginęło, też nie wiem. Wiem, że z Wierzbowa zginął Boguski, miał wtedy dwadzieścia lat. Został w tej walce ranny i jak się znalazł w Łubach–Kurkach, to

też nie wiem. Pamiętam, że swoim wozem w konie zawiozłem go w trumnie do jego domu, ale kto był ze mną, to tego już nie pamiętam. Dom jego był z samego brzegu od Uśniku. Jak zajechałem z nim, to już czekało kilka osób. Zdjęli trumnę z wozu, a ja wróciłem do domu. Z milicją nie było dużego kłopotu. Z posterunku prawie nie wychodzili. Zapadła decyzja, żeby rozbić UB w Łomży. Miały to zrobić oddziały specjalne, które musiały przybyć do Łomży z innego terenu. My natomiast mieliśmy zadanie, żeby nie dopuścić do Łomży posiłków, jak by takie jechały. Chociaż nie było to prawdopodobne, żeby mogły jechać posiłki z Ostrowi Mazowieckiej do Łomży. Było nas piętnastu, wszyscy z maszynową bronią, tak że jak by było trzeba, to byśmy dali radę. Był to wrzesień 1945 roku. Nasza jednostka była zmechanizowana – wszyscy na rowerach. Niektórzy siedzieli na rowach, inni jeździli po szosie. Jeden z moich kolegów wyjechał w kierunku Łomży nie dalej jak 200 lub 300 metrów. Wraca do nas i mówi mi, że idzie w naszym kierunku kobieta. Pytał się jej, gdzie idzie, ale ona nic nie odpowiedziała. Pojechaliśmy razem w jej kierunku i ja się pytam, gdzie Pani idzie. Nic nie odpowiedziała i idzie dalej. Pomyślałem, że może głucha i niema. Powiedziałem „stać”. Stała. Pytam się jeszcze raz „dokąd Pani idzie - nie boi się Pani tak w nocy iść” – nie odpowiedziała. Powiedziałem jej „proszę iść” i poszła. Była już od naszej grupy może, że sto metrów. Zostawiliśmy ją i wróciliśmy do kolegów, żeby im powiedzieć. Ale ona już zniknęła. W pobliżu nie było, żadnej drogi, którą mogłaby pójść. Co z nią się stało, nie wiem. Noc była księżycowa, chmury poprzerywane i nie było tak bardzo ciemno. Ubrana była na białą, jak na kobietę była wysoka. Pamiętam, że jak szła, to nie poruszała rękami. Ręce miała opuszczone przy sobie. Tak, że tego widzenia nie zapomniałem do dziś, a często mi się przypomina, że ją widzę. Do tej akcji na UB-e w Łomży nie doszło dlatego, że już się druga strona o tym planie dowiedziała. W tej sytuacji od tego zamiaru odstąpiono, z uwagi na przewidywane zbyt duże ofiary. Prasę podziemną zaczęli wydawać w większym nakładzie, a my zbieraliśmy broń od ludności, taką która, im nie była potrzebna. Broni mieli bardzo dużo młodzi chłopcy. Pod koniec 1945 roku można powiedzieć, że broń mieliśmy prawie legalnie. Po tym niedoszłym ataku na Łomżę, wiadomości z UB-e nie docierały. Pieńkowski, to ten człowiek co nam przekazywał informacje został zdemaskowany i aresztowany. Dostał do odsiadki 15 lat więzienia. To co teraz chcę napisać to już parę razy myślałem: pisać, czy nie pisać, ale jak wspomnienia, to wspomnienia. Był czwarty grudzień 1945 rok. Jak zwykle śpię na strychu nad chlewem. Wchodzę do stajni, drzwi za sobą zamykałem na haczyk, ale jak ojciec wstawał rano, żeby dać pokarm koniom, to ja musiałem otworzyć. Ale tym razem nie zamknąłem, bo pomyślałem, że nie będę musiał wstawać, żeby roztwierać. Mieszkanie było przy samej stajni. Nad ranem jeszcze było ciemno, usłyszałem mocne stukanie do okna i do drzwi i już wiedziałem co to znaczy. Szybko

się ubrałem, pierzynę odrzuciłem, nakryłem ją sianem, a sam przytuliłem się pod strzechę. Pomyślałem, - „żywego mnie nie weźmiecie”. Miałem ze sobą automat dwa magazynki na zapas i dwa granaty. Słyszę dochodzące z mieszkania krzyki, a mama mówi: „jego u nas nie ma, on tam na wsi ma się żenić i teraz może być u nich”. A teraz najgorsze: słyszę, że do stajni wchodzi żołnierz. W stajni stała drabina, po której wchodziłem na strych spać. Wchodzi po tej drabinie i świeci latarką, ale doszedł tylko do stropu. Pytają się go, czy coś widać, a on odpowiedział, że tu nikogo nie ma. To chwała Bogu, że on nie był taki ciekawy. Bo, żeby wyjrzał na wierzch strychu, to by było źle, a nawet bardzo źle. Miałem takie myśli, że jak wyjrzy na strych, to przycisnę serię, a na podwórko rzucę granat i będę uciekał. Ale nigdy nie ma takiej pewności, że to się uda. Jak się uciszyło, to po cichu zszedłem na dół i poszedłem do stodoły, bo w stodole leżał karabin 10-cio strzałowy i jakby go znaleźli, to by zabrali ojca, a o to się bardzo bałem. Jak wychodziłem za stodołę, to też bardzo cicho. Otworzyłem drzwiczki i lufę mam przed sobą i wychodzę tyłem. A tu nie dalej jak 15 metrów stoi żołnierz, do mnie bokiem i trzyma palec na spuście. Uważnie go obserwuję, czy nie wykręci broni w moim kierunku. Bo jak by chciał to zrobić, to ja chciałem być pierwszy. Ale on stał cały czas nieruchomo i ja po cichu mogłem, pod osłoną nocy, oddalić się od zabudowań. Przygoda ta zakończyła się dla mnie szczęśliwie. Od tego zdarzenia zaczęło się moje ukrywanie. W lecie, to nie było takie trudne, ale zimą, to było bardzo trudno. Zima była bardzo mroźna. Tak, że się zbieraliśmy po kilku i na noc chodziliśmy w różne miejsca. Przeważnie do pojedynczych zabudowań w pobliżu lasu. Nosiliśmy ze sobą broń automatyczną i nie czuliśmy się tacy słabi. Zima minęła i już było łatwiej żyć. Przespać się można było wszędzie, gdzie się dało. Po mnie tak często nie przyjeżdżali, a jak przyjechali to, nigdy nie było wiadomo kiedy. Przyjeżdżali w różne pory dnia i nocy. W domu też często przebywałem, ale muszę przyznać, że pilnowała mnie cała wioska. Dużo razy, jak byłem w domu, to ktoś przyszedł i powiedział, że jest UB-e, tak że zdążyłem się schować. Na drugą zimę z kolegą zrobiliśmy skrytkę w stodole, gdzie przespaliśmy całą zimę. W tym czasie, po kolegę jeszcze nie przyjeżdżali. Najgorzej było zimno, jak się położyło spać. Do spania trzeba było się rozebrać, żeby się zagrzać, bo jak bym się położył w ubraniu, to by było bardzo zimno. Rano jak się wstawało, to na pierzynie był lód, a buty jak były mokre, to zamrzły na kość, tak że do mieszkania trzeba było iść w skarpetach. Pomimo tego, jak było to ta zima dla mnie była lepsza, niż ta pierwsza. Z tych ludzi, co ich chcieli aresztować utworzyły się bojówki i to utrudniało dalsze aresztowania ubowcom. Jak wyjeżdżali z Łomży na wieś, to w ich rodzinach był wielki smutek, bo nie było pewności, czy wrócą. Było i tak, że nie wszyscy wrócili. Walka z partyzantami, to walka trudna, bo oni są wszędzie i nie ma ich nigdzie. Ja w tych walkach udziału nie brałem, miałem zadanie na tak

zwanej siatce. Bez siatki żaden oddział partyzancki długo się nie utrzyma. Potyczki zbrojne od czasu do czasu się zdarzały, czy były ofiary, tego nie wiem. Jedną potyczkę, to pamiętam. Była zima, padał bardzo gęsty śnieg. Przyjechały dwa samochody do Tarnowa aresztować ludzi. Około jednego kilometra od Tarnowa zaczynała się wieś Uśnik. W pierwszych zabudowaniach wioski było ośmiu partyzantów. Kobieta z Tarnowa wiedziała, że oni tam są, bo też należała do siatki, więc pobiegła ich ostrzec. Więc partyzanci spodziewali się, że mogą ubowcy przyjechać i do Uśnika. Na dobrą sprawę, to powinni uciec. Tylko ośmiu ludzi, a z przeciwnej strony dwa samochody żołnierzy, to bardzo duże wyzwanie. Oni jednak nie uciekli. Zajęli stanowiska i czekali, kiedy ubowcy przyjadą. Samochody jechały w odległości około 100 m jeden za drugim. Pierwszy samochód wpadł w zasadzkę, tak że z tego samochodu nikt nie wyskoczył i nie oddał ani jednego strzału, wszyscy zostali rozbrowieni. Ale drugi samochód przyjął walkę. Jeden z tych partyzantów został zabity. Przeskakiwał przez drogę, żeby mieć lepszą widoczność. Walka ta trwała bardzo krótko. Ubowcy zostawili ten drugi samochód i uciekli. Tych ubowców, których wzięli do niewoli, partyzanci przejrzeni dokumenty i niektórych z nich puścili. Jednak kilku zabrali ze sobą. Odjechali samochodami, a następnie je spalili. Pewnego razu jadę rowerem do Jankowa, a z przeciwnej strony jedzie mój znajomy dowódca naszego batalionu. Zaczęliśmy rozmawiać o tym co u nas w tym czasie się działo. Powiedział do mnie „kolego, tu się nie można spodziewać, że przyjdą do nas Amerykanie. Ameryka z Rosją podpisała na dwadzieścia lat umowę o współpracy. Brak jakiegokolwiek szansy na to, że coś się zmieni. Ja mam skończone prawo i jadę do Warszawy szukać pracy”. Pracę znalazł w Zarządzie Wojskowym. Bo jak mnie po ujawnieniu zaczęli odwiedzać dawni koledzy, co się nie ujawnili, to byłem pewien, że te ich odwiedziny zaprowadzą mnie do więzienia. Postanowiłem też wyjechać do Warszawy, do siostry stryjecznej. Jej cioteczny brat też był wywieziony na Syberię. Dostał się do armii, która tworzona była w Związku Radzieckim. Po powrocie do Polski pracował w Sądzie Wojskowym. Był sekretarzem rozpisujący sprawy. Od niego dowiedziałem się, że ten mój znajomy jest sędzią. Ale UB-e nie wiedziało, że on ma pseudonim „Puma”. Po moim aresztowaniu w 1948 roku, pytali mnie kto to jest „Puma”, ale ja im nie powiedziałem. Na jesieni w 1946 roku siałem na polu żyto. Patrząc, a tu idzie mój znajomy z partyzantki, był po wojskowemu. Prowadził go starszy człowiek, stanąłem i patrząc, czy to ten, czy nie, ale ten człowiek (Zygmunt Jankowski – stryj mojej żony) wiedział, że się ukrywam. Dał mi znak, żeby uciekać, odległość od nich była około 50 metrów. Zacząłem uciekać, a on zaczął strzelać do mnie z pistoletu. Strzelał tak, żeby mnie trafić. Pociski przelatwały koło mojej głowy. Widziałem czarne punkciki, wystrzelił do mnie 9 razy, ale żaden pocisk mnie nie trafił. W 1947 roku ogłosili amnestię, żeby się ujawnić. Zdać broń,

kto posiada. A przeszłość będzie darowana. Ostatnim dniem na ujawnienie był 25 kwiecień. Armia Krajowa dostała rozkaz, żeby się ujawnić. Narodowe Siły Zbrojne były podzielone. Jedni byli za ujawnieniem, drudzy nie. W takiej sytuacji nie wiadomo było co robić. Staralem się spotkać z tymi dowódcami, co się z nimi znałem od czasu okupacji niemieckiej. Powiedzieli mi, że nie mamy żadnych szans, musimy się ujawnić. Dowódca naszego okręgu nie pozwalał się ujawnić. Powiedział, że złoży broń, jak komuna w Polsce przepadnie. Za ujawnienie jednego partyzanta zastrzelił. Miał zastrzelić również jego szwagra. Jak się o tym zamiarze dowiedziałem, to człowieka ostrzegłem i w porę zdążył wyjechać. U nas do ujawnienia było kilka osób. Wszyscy się pytali mnie, jak z tym ujawnieniem. I tak zeszło, aż do ostatniego dnia, czyli 25 kwietnia. Z tym zacofańcem uzgodniliśmy, że się ujawniamy. Ale on się nie ujawnił i przeżył do 12 sierpnia 1949 roku. Kiedy przyjechało UB-e był w stodole. Ubowcy okrążyli stodołę i wezwali go do wyjścia. Powiedzieli: „wiemy że tam jesteś, a jak nie wyjdiesz, to podpalimy stodołę”. Razem z nim był jego 20 letni syn. Wskoczyli ze stodoły i zaczęli uciekać, a ubowcy zaczęli strzelać. Syn krzyknął „tato jestem ranny”. Ojciec zawrócił się, zdjął czapkę, przeżegnał się i zastrzelił syna, a następnie siebie. Właściciel stodoły dostał 6 lat więzienia. Razem z nim byłem w więzieniu przez jeden rok i on mi o tym zdarzeniu opowiedział. Ujawniliśmy się w ostatnim momencie, w dniu 25 kwietnia 1947 roku. Każdy z nas zdał jakąś pukawkę i dostał bilet na pociąg ważny 6 dni, po to żeby można było jeździć po Polsce i szukać pracy. Jeszcze nie doszliśmy do domu, a już na nas czekali ci co się nie ujawnili. Ciekawi byli, jak tam było. Byli bardzo grzeczni i przyjemni. We wrześniu tego roku jechaliśmy wozem na odpust do Nowogrodu. Z przeciwnej strony jechała furmanka, a na niej czterech ludzi w mundurach, dobrze uzbrojonych. Zatrzymali nas i jeden z nich mnie zawołał. Był to Henryk Jastrzębski, pseudonim „Zbych”, z którym się znałem z czasu okupacji, bo do niego wozilem prasę „Głos znad Narwi”. Powiedział, że był u jednego, co ja go też znałem, ale go nie było w domu, to żebym ja mu przekazał, co on mi powiedział. Ale ja się z nim nie spotkałem i nic mu nie przekazywałem. Czułem, że jestem bardzo zagrożony i postanowiłem wyjechać do Warszawy. Poszedłem do pracy na budowę, do hydraulików. Z pracy byłem zadowolony i po paru miesiącach pracowałem jako pomocnik fachowca. W Warszawie byłem zameldowany wraz z żoną i synem Ireneuszem. Miałem szansę na zdobycie mieszkania. W pracy wszystko układało się dobrze, byłem szanowanym pracownikiem i majster też mnie lubił. Najgorsze było to, że nie byłem pewien, czy nie będą się mnie czepiać. W końcu przyjechałem do Kiertan i zacząłem pracować na roli - na gospodarstwie żony.

Był to w dniu dziewiątego kwietnia 1948 roku. Wieczorem przyjechałem z pola do domu. Zjadłem kolację, a oni wchodzą do mieszkania i mówią: „skontaktuj nas ze Zbychem”. Ale ja

im na to nic nie odpowiedziałem, bo się zorientowałem kim oni są. Przetrzymali mnie w moim domu do rana. Rano wzięli furmankę i mnie zabrali. Pojechaliśmy do innej wioski, po mojego kolegę, który uczył się tam na krawca. Nie pamiętam już tego, gdzie wsadzili nas na samochód, ale pamiętam, że zawieźli nas do Zambrowa. W Zambrowie nas wysadzili z samochodu. Podszedł do mnie major i coś mnie się pyta, ale ja mu nic nie powiedziałem. Uderzył mnie w twarz i powiedział „co z majorem nie chcesz rozmawiać”. To był Moczar, który za parę lat był generałem. W Zambrowie wsadzili nas do piwnicy i pojechali dalej aresztować. Po paru godzinach przywieźli nam towarzystwo i była nas pełna piwnica. Kazali siadać na podłogę, nogi szeroko rozłożyć i tak dociskali jednego do drugiego plecami do brzucha. Z Zambrowa powieźli nas do Białegostoku, na wojewódzkie UB-e. W Białymstoku trudno nam było zejść z samochodu, ponieważ nasze nogi były ściernięte, tak że dopiero po paru minutach można było na nich stanąć.

W Białymstoku wsadzili mnie do celi, która znajdowała się w piwnicy. Było tam już czterech, a ja piąty. Najwięcej mogło tam się zmieścić sześć osób. Podłoga była z betonu, okna o wymiarach 30 na 20cm. W ścianie od ulicy było okienko zasłonięte słupem dla ograniczenia widoku. Do spania były prycze z desek o szerokości 15cm, zbitych ażurowo w odstępach również 15cm. Można było spać leżąc tylko na plecach. Już w pierwszą noc zostałem zaprowadzony na przesłuchanie. Przesłuchanie odbywało się na górze. Ubowiec zaprowadził mnie na górę i zostawił na korytarzu twarzą do ściany, tak żebym nie mógł nic zobaczyć. Słychać było brzęk łańcuchów, głuchoe uderzenia, krzyki i stękania. Po tym oczekiwaniu zaczęło się przesłuchanie. W pierwszych słowach facet był bardzo miły, ale ja wiedziałem, że po jakimś czasie zmieni ten ton. A że zmieni ten ton, to już ja wiedziałem za czasów okupacji niemieckiej, jak tacy mordercy zaczynali rozmawiać ze swoją ofiarą. Po kilkudziesięciu minutach takiej dobrej dla mnie obietnicy zauważyłem, że ona mnie nie interesuje. Zaczął zadawać mi pytania: „czy znam Zbycha”, mówię, że znam, a od kiedy go znam – pyta. - Od czasu niemieckiej okupacji, woziłem do niego podziemną prasę – „Głos znad Narwi”- odpowiadam. Na pytanie, kiedy się ja z nim ostatnio widziałem, mówię mu, że już bardzo dawno go nie widziałem. A on mi mówi: „przypomnij sobie”. Powiedziałem mu, że na pewno nie przypomnę sobie. To on mi mówi: „nie pamiętasz, to ja ci przypomnę”. Dnia ósmego września 1947 roku jechałem do Nowogrodu, a Zbych z trzema kolegami jechali z przeciwka i to on z tobą rozmawiał. To o czym rozmawiałem ze Zbychem, to słowo w słowo mi powtórzył. Myślę sobie: skąd on to wie. Dalej upierałem się, że ja się z nim nie widziałem. Powiedział, że jak się nie przyznam, to zawołają Zbycha, to ci mordę obije. Po prostu tymi pytaniami byłem zaskoczony. Przecież to był taki mocny partyzant, a co mogło się stać, żeby tak nisko upadł. Jak już zaczynało się

rozwidniać odprowadził mnie do celi. W celi się dowiedziałem, że Zbych siedzi w następnej celi. Ma łóżko i stolik nakryty obrusem. Tak już wiedziałem, od kogo on wiedział. Jak mnie ubowiec odprowadzał do celi, to powiedział mi, że jak sobie posiedzisz, to sobie przypomnisz. Ale ja tego co on chciał, to sobie nigdy nie przypomniałem. W dalszym ciągu nie przyznawałem się, że z nim się widziałem i rozmawiałem. Miałem takie plany, że jak go przyprowadzą do mnie, to go wyzwę od najgorszych kłamczuchów i nie przyznam się do tego spotkania i rozmowy.

Po paru dniach zaprowadzili mnie do góry. Było to w dzień. W ciągu dnia przeważnie aresztowani nie byli biciu, a to tylko z tego powodu, że obok, w innych pokojach, pracowały kobiety. Często to były żony śledczych. Przy kobietach nie wypadało znęcać się nad aresztantami. To przesłuchanie było prawdziwym przesłuchaniem. Pytali mnie o kilkanaście pseudonimów. Jakie są ich nazwiska. Ale niestety nie znałem ani jednego, więc nic im nie mogłem powiedzieć. Po kilku dobach w nocy, na korytarzu powstał duży ruch, było słychać bieganie i te słowa „skurwysyn się powiesił”. Od tego czasu już mi nie mówili, że przyprowadzą go na konfrontację. Po paru dniach śledczy zaprowadził mnie na górę, poczęstował papierosem, bo już wiedział, że palę. W celi palenie było zabronione. Przy wpuszczaniu do celi kieszenie zawsze były wywracane, tak że do celi nic nie można było wnieść. Pyta się, czy już sobie przypomniałem, a ja odpowiedziałem, że nie przypomniałem i na pewno sobie nic nie przypomnę. Od tej chwili mój śledczy zmienił się z aktora łagodnego na aktora bardzo agresywnego. Krzyknął: „rób 50 przysiadów”, ale ja udałem, że nie wiem jakie to przysiady. Usiadłem na podłogę wstałem i znów siadłem. On mi pokazał jak należy wykonywać przysiady. Kazał głośno liczyć każdy przysiad. Doliczyłem do 50-ciu, a on mówi, że jeszcze 50. Zrobiłem następne 50, on mówi jeszcze 50. Jak przykucnąłem, to już nie mogłem się podnieść. On w tym czasie coś pisał i dał mi do podpisania – podpisałem. Podpisałbym wszystko, co tylko by kazał, aby się od niego uwolnić. Było i tak, że parę dni na górę nie prowadzali, ale jak już zaprowadzili, to bez bicia się nie obeszło. Przysiadów już więcej nie chciałem robić, wolałem żeby mnie bili. Bili często w pięty, tak że na nogi trudno było stanąć. Jak przyprowadzili z góry do celi, to współwięźniowie pytali się czy byłeś podkuwany, jeśli tak, to zaraz moczyli szmaty w moczu, mydlili i owijali nogi. Jak owinęli jedną nogę i szykowali drugą szmatę, to ta pierwsza szmata była już sucha i tak na zmianę parę razy tę czynność powtarzali. W ten sposób udało się uratować pięty. Nie tylko owijali moje pięty, ale i ja owijałem innym, jak było trzeba. Mocz w celi był cały dzień. Wynosiło się go rano do ubikacji. Moi mieszkańcy celi często się zmieniali. Po paru dniach byli załatwieni, czasem wypuszczani do domu, często wywożeni do więzienia, w oczekiwaniu na rozprawę. Mnie prowadzali na

górze, jak to się mówiło na przesłuchanie, parę razy w ciągu tygodnia. Prawie zawsze byłem bity. Bili mnie po karku pistoletem, wkładali palce we drzwi i przyciskali drzwiami, za paznokcie wpychali szpilki i jeszcze mieli takie coś co wyglądało jak rękaw i uderzali tym w bok tak, że te uderzenia bardzo bolały. Co jakiś czas przesłuchujący się pytał, czy się przyznam. Ja mu mówiłem, żeby mi powiedział do czego mam się przyznać, to się przyznam. I już po dwóch miesiącach zrobili na mnie mocne uderzenie, którego nigdy nie zapomnę. Zaprowadzili mnie na górę, ale już nie na przesłuchanie, tylko na katowanie. Było ich trzech. Powiedzieli, że już wreszcie będziesz śpiewał jak kanarek. Na to ja im nic nie odpowiedziałem. Powalili mnie na podłogę plecami do góry, ściągnęli buty z nóg. Ten, co siedział mi na plecach, chwycił za nogawki i uniósł nogi do góry, a drugi zaczął mnie podkuwać.

Do pewnego czasu znosiłem te uderzenia w milczeniu. W pewnym momencie zacząłem głośno krzyczeć. Pamiętam, że krzychałem „ratunku, mordują Stalina pachołki, w Białymstoku urządzają Katyń”. Jeden z nich chwycił gazetę ze stołu i zaczął wpychać ją mi do ust. Wyczułem, że mam blisko zębów jego palec, otworzyłem usta i palec znalazł się między zębami i tak ile miałem siły przygryzłem bardzo mocno ten palec. Tak, że on krzyknął „skurwysyn gryzie” i kopnął mnie. Ale ja w tym czasie miałem wolne ręce i jak on mnie kopnął, to przytrzymałem jego nogę i ile miałem siły w zębach ugryzłem go w kolano. Robiłem to z myślą, że ich sprowokuję, to może mnie zabiją i moja męczarnia się skończy. Ale się nie skończyła i zaczęli mnie kopać butami, chodzić po mnie. Myślałem, że już mnie wykończą, ale jeszcze wytrzymałem. Zepchali mnie na dół. Klucznik mnie od nich odebrał. Jeden z nich powiedział do klucznika: „zamknij go”, ale ja nie zrozumiałem, gdzie ma mnie zamknąć. Była to w ścianie taka wnęka, gdzie można było tylko stać, ale ja na stanie nie miałem siły. Miałem świadomość, że już skończę swoją mękę. Jaki czas upłynął, to nie wiem, bo straciłem orientację. Drzwi otwiera klucznik i mówi: „chodź, bo długo tu nie wytrzymasz”. Pyta się: „za co oni ciebie tak mordują”. Powiedziałem mu: „za to, że nie chcę się przyznać, a ja im mówię, żeby powiedzieli mi do czego mam się przyznać, to się przyznam”. Powiedział mi: „już tyle wycierpiałeś, to się jeszcze potrzyмай, to ciebie wypuszczą”. Powiedział też „ja też siedziałem za Niemców, wiem co to znaczy”. Zajrzał do mojej celi, czy jest dla mnie jedzenie, ale jedzenia nie było. Zawołał mnie do siebie na dyżurkę i dal mi swoją kanapkę. Byłem tak wygłodzony po ponad dwóch miesiącach pobytu w areszcie, że głód gorzej mi dokuczał, niż guzy na głowie i siniaki na całym ciele. Od tego czasu na przesłuchanie mnie nie prowadzali. Ten klucznik, to tylko kiedy miał służbę, to zaraz otwierał celę i mnie wypuszczał. Chodziłem z jeszcze jednym aresztantem do kuchni po żywność, nalewaliśmy posiłki tym aresztantom, co byli w celach. W

tym czasie aresztowany był również mój znajomy z Chojn. Dla niego starałem się sięgać z dna, żeby nalać gęstej zupy i widywałem go co trzeci dzień, do czasu kiedy nie wyszedłem.

Ten klucznik, co tak bardzo mi pomagał, był Białorusinem. Starszy był ode mnie o 15 lat. Jak tylko przyszedł do pracy, to zaraz wypuszczał mnie z celi. Chodziłem po korytarzu z mokrą szmatą, przecierałem posadzkę, tak tylko, aby było widać, że coś robię. W soboty paliłem w łaźni, gdzie było 12 pryszniców. Ubowcy przychodzili z góry, żeby się wykąpać. Nie byłem honorowy i prosiłem ich o papierosy. Byli tacy, którzy oddawali wszystkie papierosy, jakie posiadali, ale i byli tacy, którzy nic nie dali i jednocześnie wyzywali od bandziorów. Ich zachowaniem nie przejmowałem się. Zależało mi na tym, żeby zanieść papierosy tym, co siedzą w celi. Bo oni na to liczyli, a ja zawsze starałem się im te papierosy przynieść. Po paru dniach, jak zaprzestali prowadzić mnie na górę, przyszedł jeden się wykąpać, ale nie było ciepłej wody. Spojrzałem na niego i zaraz wiedziałem po co on przyszedł. Mówię do niego, że w tej chwili nie ma ciepłej wody, ale ja zaraz ją zagrzeję. Wodę zacząłem grzać, a on rozpoczął ze mną rozmowę. Częstował mnie raz po raz papierosami i wyrażał współczucie. Ja do niego powiedziałem, że gdybym ja wiedział, to bym im powiedział i by puścili mnie do domu. Zostawiłem żonę i dziecko. Ale można powiedzieć, jak coś się wie. Po takiej rozmowie, która trwała około dwóch godzin, mój przyjaciel poszedł zapominając wziąć prysznic. Poczułem, że on mi naprawdę pomoże. I tak też było. Do końca mojego pobytu na UB-e nie byłem prowadzany na przesłuchania. Po paru dniach zaprowadzili mnie na górę, ale już nie do tego pokoju, w którym przesłuchiwali. Jak się po chwili zorientowałem, był to prokurator. Miał moją teczkę z tymi dokumentami, które przez dwa miesiące ubowcy spisali, a ja im podpisałem. Zaczął mi czytać, co przeczytał jakiś fragment, to się pyta się „czy tak było”. Jak wiedziałem, że to jest dla mnie korzystne, to potwierdzałem, a jak nie, to zaprzeczałem mówiąc, że tak nie było. A on mówi: „to dlaczego to podpisaliście”. Ja mówię, że wszystko, co kazali podpisać, to ja podpisywałem, bo wtedy zaprowadzali mnie do celi. Zapytał: „a może was bili”, a ja powiedziałem, proszę zobaczyć i zacząłem podnosić koszulę, żeby zobaczył na moim ciele mapę z siniaków. Ale on nie chciał oglądać i nie kazał podnosić koszuli. Czytał w dalszym ciągu i pytał się czy tak było, czy nie. Na co się nie zgadzałem podkreślał czerwonym ołówkiem. Po spotkaniu z prokuratorem byłem pewien, że jak mnie nie przyślą jakiegoś kwiatka z wolności, to mnie wypuszczą. Co parę dni prowadzali mnie na górę i oglądali plecy, czy już mogą mnie wypuścić. W tym czasie siedziała czternastoletnia dziewczyna, była to córka pułkownika o pseudonimie „Błękit”. Aresztowali córkę po to, żeby ojciec zgłosił się na UB-e. Ale ojciec się nie zgłosił i po paru tygodniach ją wypuścili. Pod koniec mojego pobytu ta dziewczynka była po raz drugi aresztowana. Ten klucznik, co mi pomagał jak miał służbę, to

ją też wypuszczał z celi. Spotkaliśmy się w łazience. Prała chusteczki. Zobaczyła mnie i mówi: „to pan jeszcze siedzi”. Mówię, że tak, a ona mówi: „ja już drugi raz”. Podarowała mi chusteczkę i więcej już się nie widzieliśmy. Razem ze mną w celi siedział Tadeusz Kłek, były sierżant artylerii Wojska Polskiego z 1939 roku. Po klęsce wrześniowej wstąpił do Armii Krajowej. Organizacja skierowała go do żandarmerii niemieckiej „na wtykę”, bo znał język niemiecki. Jak był żandarmem, to zabezpieczał się na przyszłość. Spotykał się z majorem radzieckim, który dowodził oddziałem partyzanckim, a było to w okolicy Wisłoczy. Ostrzegł dwóch Żydów: lekarza i młynarza, którzy przeżyli okupację. Puścił dwóch oficerów radzieckich którzy uciekali z niewoli niemieckiej. Znał ich adresy i wiedział, że żyją. Ale był problem, żeby się z nimi skontaktować. Było wiadomo, że mnie zwolnią, jak mapa z mojej skóry zniknie. Bardzo mnie prosił, że jak wyjdę, to żebym pojechał do Gdańska, do jego żony, żeby ją poinformować co ma robić i żeby nikomu nie dawała pieniędzy. Zwolnili mnie 16-go lipca 1949 roku. Przed zwolnieniem zaprowadzili mnie do pokoju, w którym nigdy nie byłem. Wcześniej nie widziałem tego ubowca. Był bardzo grzeczny, oddał mi depozyt, powiedział, żeby sprawdzić, czy wszystko jest. Podał mi kartkę do podpisania, na której było napisane: „Co widziałem i słyszałem na terenie tego gmachu zobowiązuję się zachować w ścisłej tajemnicy, na co się własnoręcznie podpisuję”.

Na drugi dzień pojechałem do Gdańska. Trafiłem w to miejsce, nikogo nie pytając. Przed domem na ulicy spotkałem czteroletniego chłopca. Przypuszczałem, że to ich syn. Zawołałem go po imieniu. Pytam się, czy mama jest w domu. Powiedział, że tak. No to idziemy do mamy. On zapukał, mama otworzyła, ale wejść nie było można do środka, bo drzwi były zabezpieczone łańcuchem. Patrzy się pani na mnie, a ja jej mówię: „z pani mężem byliśmy razem i mam dla pani informację”. Ale ona patrzy się na mnie i nie bardzo się śpieszy, żeby otworzyć drzwi. Mówię: „widzę, że ma pani wątpliwości. ale pismo męża, to pani zna”. Podałem jej kartkę, a ona przeczytała: „Halinka możesz tym panem o wszystkim rozmawiać”. Drzwi z łańcucha uwolniła i wszedłem do środka. Przekazałem wszystko, to co miałem przekazać, tak że byłem pewien, że nic nie zapomniałem.

Jak byłem w Gdańsku, to pierwszy raz zobaczyłem morze. Na drugi dzień Halinka zwróciła mi za bilety i powróciłem do domu. Zacząłem pracować w gospodarstwie, ale nie trwało to długo, bo 10 sierpnia 1949 roku ponownie mnie aresztowali.

Drugie aresztowanie

Myślę, że wsypali mnie ci, co się nie ujawnili, a widzieli się ze mną po moim ujawnieniu. Z naszej wioski aresztowali kilka osób. Zawieźli nas na UB-e do Łomży i zaraz śledczy zaczęli mnie przesłuchiwać. Jak zwykle te swoje dobre obietnice, powiedziałem mu twardo, że to nie

dla mnie te bajki, ja już je dawno znam. „Macie materiały, to róbcie użytek, a ode mnie to się nic nie dowiecie”. Uderzył mnie w twarz i powiedział: „ty jesteś skurwysyn mądry”. W zeszłym roku, to ciebie mieliśmy, ale nic nie mogliśmy ci udowodnić i ciebie puściliśmy, Teraz to ci się nie uda. Powiedziałem mu, że wiem, że się nie uda, dostanę pięć lat więzienia, a on mi powiedział: „dałem ci sześć”. Jak nas zawieźli z Łomży do Białegostoku, to zapędzili nas do dużej celi, w której było parę łóżek. Było nas 42 osoby. Kapusie zaczęli zaraz nam dokuczać. Kapo wpadło i krzyczeli „lotnik kryj się”, ale pod te łóżka wszyscy się nie zmieścili i tych, co nie byli pod łózkami kopali. Lotnika urządzali dwa razy na dobę. Ci ludzie, co od paru tygodni siedzieli na UB-e byli bardzo wygłodzeni. Przynieśli nam na obiad bardzo gorącą zupę, naleli do czterech miednic. Łyżki nikt nie miał. Żeby jeść, to pokładliśmy się na podłogę na brzuchy, nie było ani jednego, który by uniósł się honorem i nie chciał jeść. Poparzyliśmy sobie usta i języki, ale to się po jakimś czasie zagoiło. Tak z tym jedzeniem było przez trzy doby. Ja już w pierwszy dzień pobytu zarobiłem parę godzin karca. Byliśmy jeszcze w swoich ubraniach. Niektórzy mieli dziurawe kieszenie to mogli przemyścić trochę tytoniu, ale nie mieli ognia a ja już umiałem go zrobić z waty. Zrobiłem ogień i zapaliliśmy papierosy, a tu wpada kapo i krzyczy „skąd ogień”. Zostałem wydany i musiałem posiedzieć parę godzin w karcu. Sprawa odbyła się 30 grudnia 1949r. Usłyszałem wyrok 6 lat pozbawienia wolności i ileś tam lat pozbawienia praw obywatelskich i praw honorowych. W ten sposób stałem się mało wartościowym obywatelem. W ciągu tych paru miesięcy nie byłem przesłuchiwany, ani bity. Gdyby mi dali taką porcję tortur jak rok wcześniej, to bym nie przeżył. Ci partyzanci co się nie ujawnili i zostali aresztowani, to występowali na każdej sprawie jako świadkowie. Jeszcze przed sprawą ja z tymi świadkami miałem okazję przez kilka sekund porozmawiać. Z mojej strony padły najgorsze słowa. Oni powiedzieli, że będziemy ciebie bronić. Na sprawie mnie bronili, ale sędzia powiedział, że świadkowie są tacy sami jak oskarżony. Świadków osądzili na końcu.

Pierwszy świadek, Jerzy Dominiak ps. Cygan, dostał karę śmierci – wyrok wykonano.

Drugi świadek, Waław Łepkowski ps. Madej, dostał piętnaście lat – wyszedł na wolność, ale w krótkim czasie zmarł.

Po sprawie ubrali nas w więzienne ubranie. W naszej celi było około 40 więźniów. Dostaliśmy miski, łyżki, koce i prześcieradła. Spanie było na podłodze, podłoga była betonowa lub z asfaltu, ale nie z desek. Na noc trzeba było ubranie złożyć ładnie w kostkę i wynieść na korytarz. Koc był cienki i prześcieradło też nie lepsze. Był dylemat czy tym się nakryć, czy się na to położyć. Spać można było tylko na boku, bo tylko tyle było miejsca. Przewracaliśmy się na drugi bok na komendę. Jak ktoś wstał, żeby pójść do kibla, to po powrocie okazało się, że jego

miejsce do spania jest już zajęte. Ale na wszystko jest sposób. Najpierw stawiało się nogę między leżących, potem drugą, następnie kolano i wreszcie na bok i łokciem i tym sposobem miejsce się znów znalazło. Dla mnie to było bardzo uciążliwe, ponieważ miałem pod pachą trzy wrzody, które bolały. Wyżywienie było bardzo złe. Gotowali kiszoną kapustę, która była tak twarda jak drut oraz brukiew, ale to była tylko woda z brukwi. Czasem na porcję trafiło się dwa lub trzy kawałki brukwi. Najczęściej była kasza prawie gęsta, ale miała granatowy kolor. Pamiętam, że siedziało ze mną dwóch szwagrów: Biało-brzeski i Chełstowski z Zalesia. Cały czas zwracali się do siebie na per „szwagier”. Z uwagi na ich starszy wiek, to dostali spanie na łóżku. Łóżko było tylko jedno w tak dużej celi. Szwagrowie spodziewali się, że może być jeszcze gorzej, jak jest. Zaczęli magazynować chleb. Jedną porcję jedli we dwóch, a drugą do torby. W krótkim czasie mieli już spory zapas chleba. Nie podobało się to pozostałym więźniom, my głodujemy, a oni magazynują chleb. Pewnej nocy wykradli im te zapasy. Pamiętam, że spałem, a ktoś dotyka moich ust. Przebudziłem się i rękę podniosłem do ust, a do ręki ktoś włożył mi chleb. Ci co mi go dali nie powiedzieli ani słowa. W ten sposób całe zapasy szwagrów rozdali bez słowa. Rano, jak się szwagrowie obudzili było po nich widać, że coś im brakuje, ale nie powiedzieli ani słowa i od tej pory nie robili zapasów.

Było to pod koniec stycznia 1950 roku. Wypędzili nas na plac i ustawili w czwórki, a następnie pognali na stację kolejową. Wagon był specjalnie przeznaczony dla więźniów. Przedziały były dla czterech osób, okna matowe, a drzwi zamknięte. Dokąd jedziemy nam nie powiedzieli. W naszym przedziale była mała szpara i na jednej ze stacji udało mi się przeczytać napis – „nie kurij”. Pomyślałem, że wiozą nas do Związku Radzieckiego. Jak zajechaliśmy na ostatnią stację, to samochód podjechał tyłem do wagonu i zaczęli nas rozprawdzać do samochodu. W dalszym ciągu nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Dopiero jak nas wypuścili z samochodu, to dowiedzieliśmy się, że to jest Rawicz.

Więzienie w Rawiczu

Zaprowadzili mnie do celi, gdzie było już jedenastu, a ja byłem dwunasty. Cella ta była przeznaczona dla dwóch osób. Szerokość tej celi była taka, że pięciu mogło położyć się na boku, drugich pięciu, tak samo, tylko do siebie głowami, a następnych dwóch pod oknem, na waleta. Ja też spałem na waleta, ale myślę, że mi było lepiej, bo mogłem się przewracać kiedy chciałem, a nie na komendę. Przynieśli pierwszy obiad – gęsta zupa fasolowa z kluskami. Ucieszyliśmy się, że przywieźli nas w dobre miejsce. Z jedzeniem było tak do końca pobytu w Rawiczu. Jeszcze przez kilka dni był duży problem z kibelkiem, którego pojemność była przeznaczona dla dwóch osób. Do ubikacji i do łazienki nie wypuszczali. Trzeba było załatwiać się w celi. Odchody z dwunastu osób w tym kibelku się nie mieściły. W celi kolejno

wyznaczany był dyżur. Rano oddziałowy otwierał celę i trzeba było to wynieść. Nie dali żadnej szufelki zbierać trzeba było rękami i zrobić trzy kursy z tym kibelkiem. Mnie przypadło dwa razy, ale gówno, to nie mina i ręki nie urwało. Wreszcie przynieśli kibel na 60 litrów. Wszyscy tym kibelem bardzo się cieszyliśmy. Towarzystwo w celi było bardzo dobre. Wszyscy mieli prawie takie same lub podobne poglądy. Było dwóch więźniów z wyższym wykształceniem co opowiadali filmy. Po trzech miesiącach szukali stolarza, więc się zgłosiłem i pracowałem w stolarni. Przenieśli mnie do dużej sali, gdzie mieszkało kilkadziesiąt osób. Każdy więzień tam miał swoje łóżko. Po trzech miesiącach znów transport.



Żona Aniela z synami, Ireneuszem i Tadeuszem (1951r.)

Strzelce Opolskie

Zawieźli nas do Strzelec Opolskich, do kamieniołomów. Zajechaliśmy przed bramę, przywitała nas obozowa orkiestra. Patrzymy, chłopcy mają długie włosy, chodzą sami po placu, więc ucieszyliśmy się, że tu będzie jeszcze lepiej. Jednak były to tylko pozory. Gorszego miejsca jak tutaj, nie było nigdzie. Był to, jak go nazywali, ośrodek nowy. Po paru dniach pobytu, a był to

sierpień, zaprowadzili nas do więzienia pod prysznic i na wymianę bielizny. Wodę do tego ośrodka doprowadzali z miasta calową rurą, która leżała na powierzchni terenu. Umywalnię stanowiła duża krypa, a nad nią rura stalowa z nawierconymi otworami. Można było się umyć oraz umyć miskę. Trwało to jednak tylko do listopada. W listopadzie był mróz i woda w rurze zamarzała, a następnie rura popękała. Do kuchni woda dostarczana była beczką. W okresie od listopada do maja na ośrodku nie było wody. Nie było również w tym okresie wymiany bielizny. Z domu przysłali mi bardzo ciepłą koszulę i kalesony, to nie było mi tak zimno. Więźniowie, którzy nie mieli koszul i kaleson, to owijali się kocami. Potrafili jednym kocem owinać nogi, ręce i całego siebie. Koc do tego się nadawał, bo był bardzo zużyty. Po przyjeździe do tego ośrodka przydzielali nas do poszczególnych baraków, w których przyszło nam mieszkać. Okazało się, że w tym ośrodku jest duża plaga pcheł i pluskw. Pchły skakały wszędzie i gryzły, nie dawały spokojnie spać. Jeszcze mocniej dokuczały pluskwy. Miałem szczęście, że pluskwy nie lubiły mojej krwi. Po kilkunastu tygodniach przyjechał samochód i czterech ludzi z plecakowymi opryskiwaczami. Zlane było wszystko w barakach i na placu. Oprysk był skuteczny - pchły i pluskwy zniknęły. Do końca mojego pobytu w ośrodku żadne robactwo już się nie pojawiło. Baraki nie były ogrzewane, pracowaliśmy na trzy zmiany. Jesienią, zimą i wiosną częste były opady deszczu i śniegu. Z pracy wracało się przemoczonym. Nie mieliśmy ubrań na zmianę. Kto w czym pracował, to w tym i spał. Jak położyliśmy się spać w mokrych ubraniach, to po pewnym czasie w baraku było ciemno od wytworzonej pary. Po szesnastu godzinach szliśmy do pracy już w ubraniach wyschniętych. Po ośmiu godzinach pracy znów podobna sytuacja i tak przez dwa lata. Przez kilka miesięcy zmoczone ubrania wysychały na naszym ciele. Nie pamiętam, żeby ktoś kasłał, albo był przeziębiony. Spodziewali się, że będę dobrym pracownikiem. Dali mi wiązkę numerków. Numerki czepiało się do wózków, a po ich wyciągnięciu na górę, numerki zaczepiane były na specjalnej tablicy i wtedy wiedzieli kto i ile wózków naładował. Na osiem godzin wyznaczona była norma: naładować siedemnaście wózków. Dałem radę naładować cztery lub sześć wózków, ale nigdy siedemnaście. Często bywało tak, że jak wracaliśmy z pracy, to nie pozwolili nam iść na ośrodek, tylko kierowali z powrotem do pracy, żeby odrobić normę. Było nas więcej takich, poszliśmy na skałę pochodziliśmy godzinę i z powrotem na bramę i inspekcyjny nas wpuszczał na ośrodek. W końcu zaryzykowałem pozbyć się tych numerków. Na dole skały było małe jezioro, a woda w nim była mętna. Postanowiłem wrzucić numerki do wody, nie wiedzieli wtedy ile wyrabiam normy i nie musiałem zostawać po zmianie, żeby dorabiać normę. Po trzech dniach mam wezwanie do wujka, tak więźniowie nazywali ubowca, który był najważniejszym nad całą administracją ośrodka. Poszedłem do wujka, zameldowałem się: „obywatelu

kierownikowi więzień karny Modzelewski melduje swoje przybycie”. Ale przed tymi słowami trzeba było stuknąć drewniak o drewniak. Na początku okazał się bardzo grzeczny, poczęstował papierosem i pozwolił usiąść. Rozpoczyna rozmowę taką jaką ja już słyszałem wcześniej. Wypytuje się jaka rodzina i ile hektarów posiada ojciec, tak jakby to go interesowało. W czasie rozmowy wszystko go interesowało, a ja mu kłamałem i udawałem, że na niczym się nie znam. Był chyba pewien, że będę z nim współpracował. Pod koniec rozmowy pyta się mnie kiedy było lepiej przed wojną, czy teraz. Powiedziałem, że nie wiem. Przed wojną pasłem krowę, mieliśmy tylko jedną, a pastwiska nie mieliśmy. Musiałem ją paść na poboczach drogi, ale bogatsi rolnicy mnie przepędzali, to szedłem z krową w inne miejsce. Teraz siedzę i nie mogę porównać, kiedy było lepiej. Na tym przyjazna rozmowa się skończyła. Pyta się dlaczego nie czepiam numerków do wózków. Mówię, że ktoś mi je ukradł. Położyłem na kamieniu i zginęły. Tak podskoczył z krzesła jakby go ktoś do prądu podłączył. Krzyczał „numerki ci ktoś ukradł”. Pyta co robicie, mówię, że ładuję bez numerków. Pyta się „ile wczoraj załadowaliście”, pomyślałem chwilę i mówię, że „chyba dwa”. Powiedziałem to celowo, żeby go zdenerwować, naprawdę załadowałem sześć. Krzyczy, że norma siedemnaście, a ja mówię, że na normach się nie znam. Żeby dali konia i pług to popatrzyłbym na konia i na pług i powiedziałbym ile mogę zaorać.

Na tym rozmowa się zakończyła, powiedział: „możecie odejść”. Stuknąłem drewniak o drewniak i się odmeldowałem. Następnym numerków mi nie dali i miałem spokój z odrabianiem normy. Parę tygodni laziłem po skałach tak, aby zeszła zmiana. Po jakimś czasie zaprowadzili mnie do wiertacza. Przyjąłem tę pracę, bo nie było ustalonej normy, praca była bezpieczna. Wierciłem wiertłem metalowym w skałe pionowe otwory. Wiertacze dostawali dziennie 0,5 litra mleka i trochę pieniędzy. Jak miałeś pieniądze na koncie, to mogłeś zrobić wypiskę do kantyny, która była na terenie ośrodka. Można było wykupić papierosy bez ograniczenia i parę dekagramów chałwy, jak była i więcej nic. W tym ośrodku był głód. Na śniadanie dawali tylko kawałek chleba, ale to było bardzo mało. Jak miałem trochę pieniędzy na koncie, to kupowałem papierosy i wymieniałem je na chleb. Wymianę robiłem ze starszymi więźniami, którzy pracowali na kuchni przy obieraniu ziemniaków i nie mieli pieniędzy, żeby kupić papierosy. Taka sytuacja trwała dłuższy czas. Z domu dostałem paczkę, w której był wojskowy kociołek, a w nim smalec. We trzech tworzyliśmy „rodzinę”, tak że ten kociołek bardzo nam się przydał. Na nocnej zmianie czasem udało się ukraść parę ziemniaków, to je sobie gotowaliśmy. Woda, w której gotowaliśmy ziemniaki była biała, bo tam były skały wapienne, ale nam to nie przeszkadzało. Jak się kartofelki ugotowały to podziobaliśmy je łyżkami i w parę minut kociołek był pusty. Bez soli, bez tłuszczu i tak nam bardzo smakowały.

To co robiliśmy było zabronione. Należałem do tej grupy, która w nocy nie była kontrolowana przez grupowych. Żaden z trzech grupowych do nas nie przychodził, woleli nie wiedzieć co robimy. Kociołek przydał się wiele razy. Jeden z moich kolegów był zawsze chętny po dolewkę. Swoją porcję wlewał do kociołka i biegł po dolewkę i wiele razy to mu się udało. Jak przyniósł, to nie tylko dla siebie, ale dla nas trzech. Ci koledzy jeszcze żyją, ale żaden z nich nie jeździ samochodem, a nawet i rowerem. Każdego roku ich odwiedzam.

W maju była już woda. Był prysznic. Zrobili wymianę bielizny, ale po paru miesiącach zostały tylko szwy, bo reszta się wytarła. Od cywilów dowiedzieliśmy się, że we więzieniu w Strzelcach Opolskich mordują więźniów. Wiadomość tę podało „Radio Wolna Europa”. Do naszego ośrodka przyjechała inspekcja. Zrobili zbiórkę na placu. Przyszło czterech ludzi i pytają się nas jak nam tu jest. Nikt nie otwierał ust. Jeden z więźniów wystąpił z szeregu i powiedział całą prawdę jak tutaj jest. Wyżywienie jest bardzo słabe, za drobne przewinienia wsadzają do bunkra, w którym jest mało powietrza i można się udusić. Tym człowiekiem był więzień Piątek z Warszawy. Bardzo dobrze zapamiętałem, że inspekcja była w piątek i w następny piątek, Piątek wyszedł na wolność. Ten człowiek swoją odwagą pomógł nam pozostającym w tym ośrodku, a było nas tam około siedemset osób. Od tego czasu minęło ponad pięćdziesiąt lat, ale ja o Piątku z Warszawy nie zapomniałem. Po tej inspekcji sytuacja się poprawiła. Natychmiast zmienili komendanta. Bunkier został zsypany, do kantyny zaczęli od czasu do czasu przywozić chleb, który można było kupić. Ja w dalszym ciągu wierciłem. Jak mi się te małe skały skończyły, to chcieli, żebym wiercił pod dużą skałą. Skała ta miała kilkanaście metrów wysokości. Otwory trzeba było wiercić na głębokość 6 metrów. Była to praca niebezpieczna z uwagi na możliwość spadania z góry odłamków skalnych. Więc odmówiłem wiercenia i znów stałem się łazikiem, bez przydziału. Czasem dali mnie do przodownika, żeby jemu pomagać. Przodownik, któremu pomagałem nic na tym nie zyskał, miał jeszcze o parę wózków mniej.

Strzelce Opolskie opuściłem około 15 listopada 1951 roku.

Sosnowiec

Zawieźli nas do miejscowości Sosnowiec. Po kilku dniach pobytu przeszliśmy jednogodzinne przeszkolenie, jak zachowywać się na dole w kopalni. Zawieźli nas do kopalni węgla w Siemianowicach. Pod koniec listopada byłem górnikiem. Zjechaliśmy w dół 321 metrów. Pierwsze wrażenie to było takie, że przy zjeździe windą zdawało się, że wnętrzości gardłem uciekną. Po paru dniach już nie było żadnej różnicy, czy jechało się w dół, czy do góry. Przed zjazdem na dół dostaliśmy skórzane buty, hełmy, lampy karbidowe oraz „garnitury”, na których

farbą olejną pomalowane były numery. To wszystko stanowiło wyposażenie górnika. Numery na ubraniach po paru dniach się zamazały i nie były czytelne. Po zjechaniu na dół nadgórnika przydzielił mnie do pomocy do górnikowi. Po paru dniach wspólnej pracy górnik ten przyniósł mi kwaterkę. Powiedział, „kolega tam w torbie jest kwaterka to ja sobie wypij, ale jakby poczuli, to powiedz, że znalazłeś w węglu”. Powiedziałem: „o to możesz być spokojny nie wydam ciebie”. Z tym górnikiem długo nie pracowałem. Pewnego razu usiedliśmy odpocząć. W naszą stronę szedł sztygar, poznać go było można po lampie, bo miał założony „blic”. Ten mój górnik wstał i zaczął robić i powiedział do mnie żebym wstał, a ja mu odpowiedziałem, że się sztygara nie boję. Sztygar podszedł do nas i powiedział „Szczęść Boże”. Spojrzał na mnie, nic nie powiedział i poszedł dalej. Na drugi dzień byłem już przydzielony do innego oddziału. Tam było o wiele lepiej.

Na oddziale czwartym było dużo młodych ludzi, którzy zamiast iść do wojska poszli do kopalni odrabiać wojsko. Na pierwszej szycie nadgórnika przydzielił mnie do pomocy młodemu człowiekowi odrabiającego wojsko. W krótkim czasie zaprzyjaźniliśmy się. Mało robiliśmy, a on dużo zarabiał. Wpłata była co tydzień i przy każdej wypłacie przynosił butelkę.

Dziś jest 14-sy kwiecień dwa tysiące ósmy rok, osiemdziesiąte czwarte moje urodziny.

W tym chodniku zrobili łukowe sklepienie z obudowy metalowej. Przy tej pracy pozostało dużo węgla na chodniku. Ten węgiel ładowaliśmy na wózki i czepialiśmy do wózka numerki. Górnicy, co pracowali na przodku, numerków nie mieli, im płacili za postęp, to znaczy ile wrębali się w przód chodnika z wyrzuceniem węgla na rucie. Rucie to były po prostu koryta zawieszane na łańcuchach, huśtające się łagodnie do tyłu, ruch do przodu oraz uderzenie w belkę powodował, że węgiel z nich zsypywał się na taśmę, na następną taśmę i dalej na wózki. Wózki były podpychane, a raczej same podjeżdżały do zsypu. Wchodziły cztery wózki w taką dużą beczkę, która obracała wózki do góry kołami wysypując przy tym węgiel. Następne pół obrotu i wózki były kołami w dół. Następne cztery i też tak samo. Mówię do tego kolegi, co razem pracujemy, że musimy mało robić, a dużo zarabiać. On mnie pyta, „ale jak to zrobić”. Powiedziałem mu jak to można zrobić. Żaden górnik nie zostanie okradziony, tylko Skarb Państwa. Uzgodniliśmy ile wózków można załadować, żeby nie przesadzić z ilością. Ja brałem kilka numerków i jak wózki jechały, to co kilka wózków przejechało - czepiałem jeden numerki. W tym czasie przyjechał do mnie na widzenie mój ojciec. Przywiózł mi paczkę, ale

powiedział, że paczkę zatrzymali na dyżurce, bo ja nie wyrabiam normy i paczka mi nie przysługuje. Ojcu powiedziałem gdzie ma zostawić paczkę, to ją otrzymam i tak też było.

Zabrakło węgla na chodniku i po jakimś czasie moja praca z Heronimem się skończyła. Przydzielili go w inne miejsce, ale beze mnie. Nadgórnik wysyłał mnie w różne miejsca. Doszło między nami do dużej sprzeczki. Myślałem, że przydzielą mnie w inne miejsce, ale tak się nie stało. Nadgórnik wziął mnie do siebie do pomocy. Chodziłem z nim po kopalni i poprawialiśmy różne usterki, gdzie było to konieczne.

W każdą sobotę na dół zjeżdżało wojsko. Nadgórnik dał mi sześciu żołnierzy i powiedział, żeby ich zaprowadzić we wskazane miejsce do pracy. Wiedziałem, że jak wysyłają paru żołnierzy, to musi wśród nich być kapuś. Prowadzę ich do pracy i tak się im przypatruję, którego by zapytać żeby mi go pokazał. W końcu bez słowa spytałem się na migi, który to jest. Pogłaskałem się po uchu, a jeden z tych żołnierzy pokazał go palcem. Kapusia zostawiłem samego żeby, odkopywał przysypaną linię, a pozostałych pięciu poprowadziłem dalej.

Mówię im żeby siadali, bo ja dla was roboty nie mam. Na tej kopalni był jeden bardzo słaby górnik, nazywał się Swatek. Nikt z nim nie chciał pracować. Pewnego razu nadgórnik porozysłał górników do pracy, został tylko Swatek. Nadgórnik pyta się mnie czy ja bym poszedł ze Swatkiem, a ja mówię, że mogę iść nawet z diabłem, nie tylko ze Swatkiem. Poszliśmy na chodnik, a tam był duży spadek. Swatek zaczął wiercić, ale na tym spadku trudno było utrzymać się na nogach, więc pracował na kolanach.

Powiedziałem mu „dajcie, to ja będę *wiertał*”, ale on mnie odepchnął i powiedział „*cof się*” i ja się cofnąłem i pomyślałem, że nie chce mojej pomocy. Więc to ja zrobię ci utrudnienie. Cofnąłem się, przerwałem przewody i połączyłem je na izolacji. I sobie siedzę, a on nawiercił otwór, załadował materiał wybuchowy, wyszedł z tego chodnika podłączył przewody do maszynki i krzyknął pali się. Żeby spowodować wybuch maszynka musi wytworzyć iskrę, ale maszynka nie zadziałała. Poszedł na długi chodnik przyniósł drugą maszynkę i znów to samo. Powiedział „*te pierońskie lajtungi*”. Poszedł przyniósł *lajtungi* (przewody) i wystrzeliło dużo węgla, a tu już blisko końca szychty i ten węgiel trzeba uprzątnąć.

I zaczynamy go *ciepać*, każe mi stanąć bliżej ściany, żeby mu podrzucać, a on będzie dalej rzucał na rucie. Mówię mu tam stanę jak zabudujesz. Stanął tam i podrzucał do mnie, a ja odrzucałem na rucie. Dwie poprzednie zmiany robiły postęp, ale nie wykonały zabudowy bo płacili tylko za postęp. I tak *ciepamy* - on do mnie, a ja na rucie. Ale co jakiś czas z góry spadają odłamki, ale Swatek na to nie zważa, *ciepie* dalej, aż do momentu, kiedy uderzył go w głowę taki kawałek węgla wielkości dużego wiadra. Swatek ukląkł, a ja w jednej sekundzie podskoczyłem i za nogawkę wyciągnąłem go z zagrożonego miejsca. Zaraz zadzwoniłem po

nadgórnika i sztygara. W ciągu kilku minut obaj byli na miejscu. Swatka zabrali. Do pracy powrócił za miesiąc. Ja w dalszym ciągu objąłem się po kopalni. Po pewnym czasie spotkałem się z Piotrem, a on był jeszcze lepszy ode mnie. Za samowolne oddalenie się od koszar dostał pięć lat więzienia i też pracował w kopalni. Jak na panujące tam warunki, to we dwóch byliśmy dosyć mocni. W tym okresie służba więzienna pozorowała, że chce pomóc więźniom. Ogłosili, że kto dobrze pracuje i wyrabia normę, to będzie miał liczone jeden dzień za dwa dni. Więźniowie co miesiąc chodzili podpisywać listę, ale ja nie chodziłem, bo wiedziałem, że to kłamstwo. Pewnego razu wzywa mnie ubowiec i pyta się dlaczego nie podpisuję listy. Odpowiedziałem: „a po co”. On do mnie mówi: „to nie chcecie wcześniej wyjść”. Pyta się, czy pisałem podanie o warunkowe zwolnienie, odpowiedziałem, że nie. Dalej się pyta, to dlaczego nie pisaliście. Więc mówię, że nie pisałem żeby mnie zamknęli i nie będę pisał żeby mnie zwolnili. Następne pytanie: „za co siedzicie”. Odpowiadam, że nie wiem. Mówię: „przyjechał do wsi samochód zabierali mężczyzn, kobiety i dzieci. Niektórych puścili, innych zamknęli”. Po tej wymianie zdań przyniósł moją teczkę z aktami popatrzył w nią i powiedział możecie odejść. Odmeldowałem się i odszedłem. Więcej z nim się nie widziałem. W magazynie odzieżowym miałem znajomego, który podkradał kalesony. Dawał mi je, a ja wymieniałem je na spirytus. Za jedne kalesony była ćwiartka spirytusu. Jedną ćwiartkę z Piotrem wypijałem na dole, a drugą przynosiłem na ośrodek dla znajomego. Tak ładnie pił ten spirytus, że czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Usunął z szyjki lak, ręką stuknął w dno butelki i korek wyskoczył. Otworzył usta wlał wszystko w siebie, a jak butelka była pusta dopiero połykał. Przynosiłem ten spirytus kilka razy, jak wracałem z kopalni w nocy, bo w nocy mało kiedy nas rewidowali. Umówiłem się z Piotrem, że będziemy zjeżdżać na dół podpisywać listę obecności i wracać z tymi, co wracali z pracy. W ten sposób bumelowaliśmy około jednego miesiąca. Naszym grupowym był ten sam więzień, co w kamieniołomach. Miał mocno zmieniony charakter. Często pytał się nas, czy będziemy jeszcze pracować na dole, bo on pisze nam dniówki. Powiedziałem jemu „rób jak ci wygodniej na razie nie podjęliśmy decyzji, jak się zdecydujemy, to ci powiemy”. Po miesiącu bumelki powiedziałem mu, że więcej na dół nie zjadę. Powiedział, że musi zameldować komendantowi. Powiedziałem „nie masz wyboru, zamelduj”. Za kilkanaście minut wzywa mnie komendant. Wszedłem, zameldowałem się, powiedział „siadajcie”. Pyta się, dlaczego wczoraj nie byliście w pracy. Powiedziałem mu, że praca na dole mi nie odpowiada, czuję przyspieszone bicie serca i często ból głowy. Pyta się, a u lekarza to byliście, a ja mówię, że nie. „To idźcie do lekarza, bo ja was nie mogę zwolnić”. Zaczyna opowiadać różne rzeczy, że tylko będą same korzyści dla mnie. Ja już te obietniczki znałem na pamięć. Widzę, że tu nie ma co wyrzekać tylko zagrać w otwarte karty.

Powiedziałem: „obywatelu komendancie, proszę mnie ukarać za odmówienie pracy na dole, bo ja nie pójde do lekarza i nie zjadę na dół”. Zapytał się „tak”, ja powiedziałem „tak jest”. Zawołał inspekcyjnego i powiedział żeby zaprowadził mnie do fryzjera, a później do celi izolacyjnej. Włosy ścięli mi na pałę. Z inspekcyjnym przyszedłem na salę, żeby zabrać koc. Ten inspekcyjny to był równy chłop. Posiedzieliśmy z nim dłuższy czas na mojej sali. Powiedział: „weź koc i pójdziemy, bo ja muszę zanieść komendantowi próbkę z obiadu”. Zabrałem koc i poszliśmy do tego chlewika. Było tam już kilka osób i ucieszyłem się, że nie będę sam. Jeden więzień mówił, że podczas okupacji był w jugosłowiańskiej partyzantce i pełnił funkcję łącznika pomiędzy Tito a innym ważnym dowódcą. Mówił, że na tamtym terenie były odezwy do Polaków, żeby wracali do Polski, bo w Polsce jest dużo pracy i Polska czeka na Polaków. Przyjechało ich razem osiemnastu. Żymierski udekorował ich medalami, a Rokosowski dał im po pięć lat więzienia. Teraz bardzo żałują, że wrócili. Rano inspekcyjny otworzył ten areszt i pyta się kogo tu kazał zamknąć komendant, to niech wychodzi. Wyszedłem, powiedział „weźcie ten siennik i idźcie napchać do niego słomy”. Kilku więźniów już poszło, więc i ja zaczynam iść za nimi. Po drodze zgubiłem siennik więc nie miałem już po co iść dalej więc zboczyłem z tej drogi. Wieczorem na apelu czytają, że Eugeniusz Modzelewski za nie stawienie się do pracy został ukarany ścięciem włosów i pobytem w celi izolacyjnej aż do odwołania. Cały czerwiec na ośrodku ukrywałem się. Często chodziłem po placu. Jak wywoływali moje nazwisko, to się nie odzywałem udawałem, że zapomniałem swojego nazwiska. Pewnego razu stoi inspekcyjny koło mnie i wywołuje moje nazwisko. Ten więzień, co leżał obok mnie na łóżku znał moje nazwisko i mówi: „ciebie woła”, a ja mu mówię: „leż, co ciebie to obchodzi”. Ukrywanie to skończyło się ostatniego czerwca. Zgłosiłem się i zaraz na długi dzień pojechałem w transporcie.

Wrocław

Zawieźli nas do Wrocławia. Przesiedziałem cały lipiec w celi. Tam nam trochę dokuczali. Co dzień strzygli nas i golili. Każdy kto wracał od golenia to miał twarz czerwoną od dużej ilości zacięć. W tej celi było dużo pluskw. Wszyscy klęli na te pluskwy, bo byli pogryzieni i mieli duże czerwone place na ciele. Jak już wspomniałem pluskwy mnie nie atakowały. Pobyt we Wrocławiu trwał do pierwszego sierpnia 1952 roku.

Rusko Jarosów

Z Wrocławia zawieźli nas do miejscowości Rusko-Jarosów, do kopalni gliny. Z tej gliny wyrabiali izolatory dla energetyki, porcelanę i wiele jeszcze innych rzeczy. W tej glinie było 15% ołowiu. Kopalnia była odkrywkowa. Po zebraniu warstwy ziemi około dwóch metrów pojawiała się glina. W głębszych pokładach glina była lepsza. Zdarzały się również

kilkudziesięciu centymetrowe pokłady węgla brunatnego, a pod tymi pokładami najlepsza glina. Przydzielono mnie do grupy kolejarzy. Było nas dwunastu. Cały czas była robota, bo ciągle trzeba było przestawiać i przenosić tory w nowe miejsca. Z tym zespołem kolejarzy pracowałem do listopada. W listopadzie zaczęły padać deszcze i na tej glinie zrobiło się bardzo ślisko. Ja nie miałem butów gumowych, bo ich nie chciałem, miałem tylko klompy (drewniaki). W następny dzień poszli do pracy, w jedenastu i dali sobie radę beze mnie. Stała tam buda kolejarska i był w niej piecyk. W tym piecyku paliłem i odgrzewałem kolegom chleb. Może po dwóch tygodniach wzywa mnie ubowiec i pyta się, co ja robiłem parę dni temu. Powiedziałem, że ja nie pamiętam co wczoraj było na obiad, ale on nalegał żebym sobie przypomniał. Powiedziałem, że na pewno nie przypomnę sobie. Odsunął szufladę, patrzy w kartkę i mówi, że w ten dzień nie pracowałem, tylko paliłem w piecyku podkłady i ogrzewałem chleb. Powiedziałem, że to możliwe, na pewno padał deszcz, a on mocno poruszył się na krześle, jakby coś go ugryzło. Mówię, że jak pada deszcz, to ja nie pracuję. Zmienił ton na łagodniejszy i pyta się, jak się pracuje, czy ktoś utrudnia w pracy. Powiedziałem „to nie moja sprawa”. Powiedział „na was donoszą, a wy nic”. Powiedziałem: „obywatelu kierowniku to nie ten adres, żeby się czegoś dowiedzieć”. Na pytanie „za co siedzicie” odpowiedziałem, że nie wiem. „Jak to nie wiecie za co siedzicie?”. Odpowiedziałem w podobny sposób, jak na kopalni węgla. Przyniósł moją teczkę popatrzył w nią i powiedział „możecie odejść”. Odmeldowałem się i odszedłem. Pod koniec listopada zacząłem się ukrywać i nie chodzić na kopalnię. Podobnie zrobiło jeszcze około trzydziestu więźniów. Po paru dniach zaczęli nas wyłapywać. Już niewiele brakowało, a mnie też by złapali. Zrobili zbiórkę i po kolei wyczytują. Jak już byli blisko mojego nazwiska, obok nas przechodzili więźniowie z kotłami do kuchni po obiad, zaryzykowałem i przyłączyłem się do nich. Tym razem się udało, byłem pewien, że następnym razem już się nie uda. Wieczorem spotkałem się ze znajomym, co pracował w magazynie. Zapytał się, czy ja umiem szyć na maszynie, powiedziałem, że tak, ale co trzeba szyć. Mówi, że łątać te ubrania, które nosimy. Mówię „zgodna, będę szył”. Powiedział kierownikowi magazynu, że ma już jednego krawca i podał moje nazwisko, a kierownik do komendanta i w ten sposób zostałem przyjęty na krawca. Zapoznałem się z maszyną. Na początek musiałem nauczyć się poruszać pedałem, żeby maszyna kręciła się tylko w jedną stronę. Po paru minutach maszynę miałem opanowaną.

Jeszcze się dobrze nie rozejrzałem, a tu ubowiec przynosi płaszcz, żeby założyć zakładki. Pomyślałem, że to już koniec krawca. Pytam się szewców, a było ich pięciu: „może który z was wie jak to się robi”, ale oni byli takimi fachowcami, jak ja. Rozłożyłem płaszcz na stole i się na niego patrzę. Zawołał mnie komendant, ale nie wiem po co. Pyta się „krawiec jesteście”,

mówię: „tak jest, obywatelu komendancie”. Wtedy on mówi: „weźcie ten płaszcz i go odczyście”. Przyniosłem ten płaszcz i już wiedziałem jak zrobić zakładki. Zrobiłem te dwa płaszcze i nie było reklamacji. Poczuję się umocniony na tej funkcji. Otrzymywałem wynagrodzenie - sto złotych na miesiąc, jako pracownik działu gospodarczego. Później pracowało nas czterech, ale wynagrodzenie dostawałem tylko ja. Po paru dniach kierownik magazynu mówi mi, żeby do siebie dobrać kogoś, ale żeby i pokazał na ucho. Znałem się z Teofilem Lipką. Mówię „mam dobrego chłopaka”. Kierownik się pyta kogo, mówię że Lipkę, a on mówi, że to kowal. Mówię, że on był parę lat w Związku Radzieckim, to on umie wszystko robić. Kierownik się zgodził i na drugi dzień Lipka był krawcem. Początek też był trudny, bo maszyna kręciła się w obydwie strony. Z tym problemem Lipka szybko sobie poradził i w ten sposób byliśmy razem krawcami od listopada do piętnastego czerwca następnego roku. Straż więzienna też robiła interesy. Przynosili nam kawałki wybrakowanych prześcieradeł, żeby z tych kawałków uszyć całe. Były one w magazynie wymieniane na nowe i wynoszone do domów. Stan w magazynie musiał się zgadzać. Po paru tygodniach dali nam trzeciego krawca. Ten trzeci nam nie przeszkadzał. Ale komendant chciał wiedzieć, co się dzieje, co robią i o czym rozmawiają. Było nas na sali pięciu szewców i trzech krawców, ale żadne wiadomości od nas do skrzynki nie wpływały. Przy administracji ośrodka była skrzynka, do której można było wrzucać różne prośby, zażalenia i podpieprzenia. Najbardziej interesowało ich to ostatnie. Dali nam czwartego krawca. Nazywał się Edward Kozłowski, był dokładnie garbaty i bardzo ciekawy. Wiedziałem od razu po co on tu przyszedł. Musieliśmy liczyć się ze słowami. Naprzeciwko naszych drzwi od warsztatu było biuro. Pracowało w nim trzech więźniów, którzy prowadzili księgowość gospodarczą całego ośrodka. W drugim budynku była administracja, pracowały tam kobiety w biurze komendanta. W ośrodku była jedna maszyna do pisania i była pożyczana sobie na wzajem. Jak była potrzebna więźniom, to szli po nią do administracji, a jak była potrzebna administracji, to kobiety przychodziły do więźniów, ale zawsze we dwie. Pewnego razu byłem na korytarzu i przyszły kobiety, po maszynę i jak zwykle ze sobą rozmawiały. Ale garbusek nie wiedział, po co one przyszły. Wchodzę do warsztatu, a Edzio się mnie pyta, co te kobiety chciały. Zażartowałem, że przyniosły do szycia na majtki i na biustonosze. Mówię do niego „chodź to weźmiesz miarę”, ale on się upiera, że nie pójdzie, to ja go jeszcze mocniej przyciskam i ciągnę go, ale wiem że on nie pójdzie. Wyszedłem na korytarz i sam do siebie głośno mówię, że nie chce przyjść. Na drugi dzień rano przychodzi komendant zawołał mnie na korytarz i pyta się, co te kobiety chciały. Udałem zaskoczonego i mówię „jakie kobiety tutaj żadnych kobiet nie było”. A czy nie wołaliście Kozłowskiego, żeby miarę wziął. Mówię, że nic podobnego nie było tu żadnych kobiet i nikt go nie wołał.

Powiedziałem komendantowi: „proszę się zapytać szewców i dwóch pozostałych krawców, czy coś podobnego słyszeli”. Komendant wytrzeszczył oczy na mnie, a ja na niego. Kto kogo przepatrzy. Staralem się, żeby nie mrugnąć, bo by to świadczyło, że kłamię. Po chwili pogroził mi palcem i powiedział „ty cholerny bucu”. Zawołał zaraz inspekcyjnego, żeby obywatela Kozłowskiego zamknął do celi izolacyjnej za wprowadzanie władzy w błąd. Po całym ośrodku szybko rozeszła się wiadomość, że Kozłowski siedzi w karcu. Na noc inspekcyjny przyprowadził Kozłowskiego na barak, gdzie mieszkaliśmy. Więźniowie, jak go zobaczyli, to tak jak by byli umówieni, co mają zrobić z donosicielem. Gdy zgasło światło na baraku, to zaczęli garbusowi prostować garb, zaczął mocno krzyczeć. Inspekcyjny spodziewał się takiej reakcji więźniów i był w pobliżu baraku. Jak usłyszał krzyki, to wpadł na barak i krzyknął: „spokój”. Jak zapaliło się światło, to każdy z więźniów był na swoim miejscu. Inspekcyjny zabrał garbusa i od tego czasu już go nie widziałem. Kierownik naszego warsztatu i magazynu powiedział do mnie, ale go załatwiliście, udało się wam. Dowiedzieliśmy się, że komendant zwymyślał swoje pracownice i później szukał potwierdzenia, którego już nie znalazł. Życie w warsztacie wróciło do normy. Jak ktoś chciał coś powiedzieć, to nie musiał zastanawiać się, czy powie dobrze, jak powiedział, tak zawsze było dobrze. Jak wspominałem wcześniej krawcem byłem od listopada do piętnastego czerwca. Mój kierownik poszedł na urlop i w trakcie jego urlopu przenieśli mnie na kotłownię. Kierownik, jak mnie spotkał, to powiedział: „ jak ja bym był, to bym ciebie nie puścił do kotłowni”. W kotłowni było nas czterech, pracowaliśmy po sześć godzin i było bardzo dobrze. Były dwa duże kotły do obsługi kuchni, pralni i łaźni. Praca w kotłowni polegała na ręcznym wrzucaniu koksu do pieca i pilnowaniu zegarów. Bezpieczniki były tak ustawione, że nic złego nie mogło się zdarzyć. Do sypania koksu na dół dawali ludzi i przy braku prądu dawali ludzi do ręcznego pompowania. Z tej pracy byłem zadowolony. Na nocnej zmianie się spało. Jak kucharze szykowali się do gotowania, to inspekcyjny przyszedł i krzyknął „kotłownia gazu”. Ogień w kotłach trzymało się zawsze. Jak był rozkaz „gazu”, to dało się powietrze i za kilkadziesiąt minut woda się gotowała. W tym ośrodku nie było tak źle. Obiad składał się z dwóch dań. Najczęściej gotowane były ziemniaki na sucho i gulasz. Palacze sami chodzili do kuchni po żywność. Kucharze czasem zaczerpnęli chochlą z dna, to było pół wiadra gęstego. Wybierało się mięso chude, a tłuste ochłapy do pieca. Dobrze było jak byłem krawcem, ale w kotłowni o wiele lepiej. Na baraku, gdzie mieszkałem było dużo ludzi, co mieli takie same poglądy jak ja i rozmowa z nimi zawsze przebiegała właściwie. Był z nami Żyd, o imieniu Julek. Zawsze wieczorem rozweselał towarzystwo. Czytał napisane wcześniej przez siebie humorystyczne wiadomości z frontu. Zapamiętałem jak więźniowie się śmiali z fragmentu, „nasze wojska w dużym tempie posuwają się naprzód, a

nieprzyjaciel tuż, tuż za nimi”. Kiedyś zapytał mnie: „ powiedz, co o mnie mówią”. Powiedziałem mu: „takiego Żyda, jak ty, to trzeba szukać w tysiącu”. Nie powiedziałem mu, że ja Żydów nie lubię. Pamiętam, że około siedemnastego lipca kucharze na mojej zmianie przynieśli w wiadrze mięso, żeby je udusić. Na kuchni nie można było tego zrobić, bo gotowanie odbywało się na parze. Nabrali na łopatę rozpalonego koksu i postawili wiadro. Zaczęło się smażyć, powstało dużo zapachu. Pytam się, z czego to mięso, a oni się śmieją i mówią: „jak będzie gotowe, to ci powiemy”. Domyśliłem się, że to mięso jest z pieska, powiedzieli, że tak. Parę razy na łopacie zmieniali koks i piesek był gotowy do jedzenia. Wpadli kucharze do kotłowni i każdy za swój kawałek i widzę, że im to smakuje. Zaczęli nalegać na mnie, żebym spróbował. Spróbowałem kawałek udka, mięso normalne, białe i delikatne. Ośrodek miał hodowlę świń. Po zlewki przyjeżdżał wóz z beczką. Za tym wozem biegał biały w czerwone łatki piesek. Kucharze go przyswoili. Dobrze o niego dbali, żeby się utuczył. Jak już był tłusty, to postanowili go zabić, ugotować i zjeść. Nie zrobili tego z głodu, bo jedzenia im nie brakowało. Ale jest takie przysłowie, że złodzieja nie karzą za to, że ukradł tylko za to, że nie umiał schować. Tak też było z kucharzami. Wiedzieli, że na mojej zmianie mogą to zrobić i by się udało, gdyby umieli schować skórę. Gdyby przynieśli ją do kotłowni, to wrzuciłbym do pieca i byłoby po sprawie. Skórę schowali pod deski na placu. Pech chciał, że w tym dniu przyjechali po deski i znaleźli skórę. Ubowiec od razu domyślił się, że to robota kucharzy. Rozpoczął przesłuchania od palaczy. Trzech już przesłuchał, zostałem tylko ja. Miałem wezwanie na przesłuchanie na godzinę 13, a o godzinie 12 byłem już za bramą więzienia. Nie wiem jak zakończyła się ta afera z pieskiem.

Wolność

Wyszędłem na wolność **21 lipca 1953 roku**.

Wyszło nas dwóch za bramę: Heniek Mrozek z Łodzi, po ośmiu latach więzienia i ja po czterech latach. Szliśmy do Wrocławia, jak było daleko, to nie pamiętam. Pamiętam tylko jak mocno bolały mnie palce u nóg po przejściu paru kilometrów. Powodem tego bólu było to, że przez prawie cały czas pobytu w więzieniu chodziłem w drewniakach, a palce w dewniakach się nie zginają. Jak znalazłem się we Wrocławiu, to już nie pamiętam. Kupiłem bilet na pociąg do Warszawy, a mój kolega do Łodzi. W tamtym czasie na dworcach można było kupić wino i piwo. Kupiłem butelkę wina zapłaciłem 70 zł, nie wiedziałem czy było to dużo, czy mało. Wsiedliśmy do wagonu i jedziemy zrobić rodzinom niespodziankę. Heniek wysiadł w Łodzi, a ja w Warszawie. Pojechałem na dworzec wileński i kupuję bilet, ale pomyliłem się w pieniądzech i kasjerka mi przygadała, że chyba pierwszy raz jadę pociągiem, to jej odpowiedziałem, że drugi raz ale te pieniądze, to mam pierwszy raz. Spojrzała na mnie i chyba

zrozumiała skąd wracam. Mój kolega z Kurpi, Stefan Gutowski wyszedł wcześniej i powiedział: „jak będziesz wracać, to zajedź do mnie, bo ja mieszkam blisko stacji kolejowej Kurpie, za Ostrołęką. Tak zrobiłem, pociąg zatrzymał się, ja wysiadłem i poszedłem do kolegi. Postawił butelkę wódki, a po jej wypiciu, jego ojciec zaprzął konia do wozu i odwiózł mnie do Dzbenina, bo tam mieszkał stryj mojej żony. Stryj często z Dzbenina jeździł do Kiertan, bo obrabiał tam kawałek łąki. Zajechałem do stryja, a on mówi, że zaraz jedzie do Kiertan. Stefan zawrócił do domu, a ja ze stryjem też pojechałem do domu. W domu mnie się spodziewali, bo już z tych spraw, jak moja paru wróciło do domu. Nie mogła być to duża niespodzianka, bo się spodziewali, ale nie wiedzieli dokładnie kiedy wrócę. Irek miał siedem lat i wkrótce mnie zaakceptował. Tadeusz miał pięć lat, myślał, że jego ojciec wygląda inaczej i powiedział: „taki ojciec”, ale po paru dniach się przyzwyczaił. W tym czasie jak zaczęli zwalniać nas z więzienia – codziennie dwóch lub trzech, a nawet czterech, to przyjechał przedstawiciel firmy i zaproponował, że jak kto chce, to po wyjściu na wolność może zostać przyjęty do pracy. Trzeba się zgłosić, zapewnione będzie mieszkanie i ściągnięcie rodziny na koszt firmy. Ilu było chętnych na pozostanie, to nie wiem, bo jak już kto wyszedł, to kontakt z nim został zerwany. Powróciłem do domu, a tutaj nic ciekawego nie zobaczyłem. Płotu prawie nie ma, samo próchno. Jak pada deszcz zacinający, to przez ścianę woda przecieka do mieszkania. Do tego wszystkiego rok był nieurodzajny. Były dwa konie i cztery krowy. Powstał problem z przetrzymaniem zwierząt do wiosny, bo nie było pieniędzy na paszę. Jak mnie zwalniali, to po czterech latach wypłacili mi tysiąc parę złotych. Dla porównania ubranie, które kupił mi mój ojciec, bo nie miałem w czym pójść do kościoła kosztowało 1600 złotych. Od 1954 roku zacząłem chorować. Czułem się słabo, ale w gospodarstwie trzeba było robić. Pamiętam, jak w czerwcu oborywałem ziemniaki, doszedłem do brzegu, straciłem przytomność i upadłem. W pobliżu szwagier Ryszard Chojnowski kosił trawę zobaczył to i zaraz zawiózł mnie do domu. W domu dali mi kropli i słabość odeszła. Pojechałem do lekarza, obsłuchał i powiedział „płaci pan 50 złotych”, wypisał receptę i powiedział, że to nic groźnego. Leki przyjmowałem z nadzieją, że to nic groźnego. Po paru dniach pracowałem w pozycji schylonej, coś przybijałem i znów upadłem. Była przy mnie żona i zaraz podała mi krople i po chwili przeszło. Po tym zdarzeniu, moja matka mówi do mnie, żebym pojechał do Szczepankowa, do organisty. Tak też i zrobiłem - pojechałem do Szczepankowa, do organisty. Pamiętam, że wtedy było bardzo ciepło. Wyszliśmy z mieszkania i usiedliśmy na schodach. Założył na uszy słuchawki, obsłuchał mnie i po chwili powiedział: „bardzo, bardzo chore serce i nerwy. Na serce, zamiast zastrzyków, jedna łyżka miodu tylko dobrego na pół szklanki zimnej wody, pić codziennie na czczo. Na nerwy kup w aptece nerwosan, nagotuj garnek i jak zechce się pić, to pij ile chcesz”.

Pytam się, czy miodu można więcej pić, powiedział, że można, ale i po jednej łyżce codziennie przez cały rok, to też dużo będzie. Byłem już w takim stanie, że nie mogłem jechać rowerem, ani na wozie w normalnej pozycji. Na wozie mogłem jechać tylko w pozycji kucznej, a wiązka siana zabezpieczała mnie przed upadkiem do tyłu. Po tej wizycie u pana organisty zdrowie zaczęło mi się poprawiać. Po trzech tygodniach tej kuracji wsiadłem na rower. W drugiej połowie pięćdziesiątego piątego roku czułem się już całkiem dobrze. Zaczęliśmy z żoną myśleć o budowie domu. W tamtych latach u nas nie można było kupić żadnych materiałów budowlanych. Władza ludowa kładła duży nacisk, żeby zakładać spółdzielnie produkcyjne, ale rolnicy u nas tak się bronili, że spółdzielni do tego czasu nie założyli. Dowiedziałem się, że na ziemiach odzyskanych można kupić cegłę ułamkową z rozbiórki. Wziąłem z gminy zaświadczenie, że cegła jest mi potrzebna na budowę domu. Zacząłem jeździć i szukać, ale to nie było takie łatwe. Znalazłem ją wreszcie w Lidzbarku Warmińskim. Pojechaliśmy we dwóch ze szwagrem. Kierownik tego miasta pokazał nam ściany, które możemy rozebrać i uszykować sobie cegłę. Wgramoliłem się na czteropiętrową ścianę i myślę sobie, że teraz naszykuję tej cegły. Okazało się, że to nie jest takie łatwe. Mur był gruby, ale było tylko po jednej cegle z boku, a w środku gruz. Na tym murze nic nie zyskałem. Zaczęliśmy szukać, może znajdziemy coś niżej. Znaleźliśmy już cegłę gotową w koziolkach, ale nie chcieli jej sprzedać. Różnym sposobem uszykowaliśmy tej cegły. Wóz konny woził ją na stację do wagonu. Okazało się, że trochę brakuje nam do pełnego wagonu. Poprosiliśmy kierownika, żeby nam sprzedał, powiedział, że tej, co stoi w koziolkach, to sprzedać nie może. Ale powiedział „możecie ją wziąć przed wieczorem, ale ja nic o tym nie wiem”. Szwagier wcisnął mu do kieszeni dwa banknoty stużłotowe, kierownik powiedział, że nie trzeba, ale ich z kieszeni nie wyrzucił. Cegła przyjechała do Łomży. Z Łomży podwoził ją samochód, ale nie na same podwórko, bo ostatnie 300 metrów drogi było nieprzejezdne dla ciężkiego samochodu. Cegłę na podwórko powoziłem wozem konnym. Zacząłem szukać cementu. Można było go kupić od złodziei, ale wtedy trzeba było mieć na wszystko rachunek. Często po wsi chodziła milicja i czepiała się byle czego. Z gminy dostałem przydział na parę worków cementu i już miałem rachunek, a jak miałem rachunek, to resztę cementu mogłem kupić od złodzieja. Wapno nawozowe znalazłem w Śniadowie. W tym roku minęło już 50 lat od wybudowania tego domu i jeszcze się nie rozsypał. Gospodarstwo nasze powoli się powiększało. Moja żona była pracowita i oszczędna, pieniędzy na byle co nie wydawała. Ze mną było trochę inaczej. Musiałem załatwiać różne sprawy potrzebne do prowadzenia gospodarstwa. Najpewniejszym sposobem było załatwianie spraw „przez bufet”. Żona moja o to nigdy się nie kłóciła. Nigdy nie wiedziała, ile mam pieniędzy i nigdy nie zaglądała mi do kieszeni. Przeżyliśmy ze sobą 54 lata i nie pamiętam, żeby kiedyś

doszło do poważnej awantury. Drobne sprzeczki, to rzecz pewna, że się trafiały. W ciągu dwudziestu ośmiu lat pobudowaliśmy z żoną dom, chlewy, stodołę i kupiliśmy w tym czasie dziesięć hektarów pola. Pożyczki z żadnego banku nie braliśmy. W styczniu 1984 roku gospodarstwo wraz z budynkami przekazaliśmy najmłodszemu synowi Heńkowi i synowej. Ja z żoną przeprowadziliśmy się do budynków moich rodziców, bo w tym domu mieszkali tylko moi rodzice. Dom był duży, drewniany, zbudowany zaraz po wojnie. Żona dostała emeryturę, a ja jeszcze musiałem czekać pięć lat. Miałem dobrą krowę i mleko od niej oddawałem do mleczarni. Miałem również 20 kur, o które dobrze dbałem, a w lecie zbierałem grzyby. Nie miałem jeszcze emerytury, ale wystarczyło mi na utrzymanie malucha – Fiata 126p i nawet na piwo.

Żona za swoją emeryturę kupowała wełnę, przędła ją i dawała robić dywany, które następnie oddawała dzieciom. W tym czasie dywany były modne i były towarem deficytowym, jak wiele innych rzeczy. Emeryturę dostałem w 1989 roku, po ukończeniu 65 lat.

Dnia ósmego stycznia 1993 roku Sąd Wojewódzki w Białymstoku unieważnił mój wyrok z 29 grudnia 1949 roku. Legitymację kombatanta otrzymałem 16 września 1993 roku. Mogłem starać się o odszkodowanie za niesłuszny wyrok i cztery lata pobytu w różnych więzieniach i obozach za rządów PRL-u po nadzorem Związku Radzieckiego. Odszkodowania dostałem 257 milionów złotych. W tamtych latach w Polsce było dużo milionerów. Ale jak kto za parę lat to przeczyta, to będzie myślał, co ten dziadek z tymi milionami zrobił. Otóż wyjaśniam, że wartość była równa 12 tysiącom dolarów. Za te pieniądze można było kupić średni samochód. Odszkodowanie rozdałem dzieciom, a część zostawiłem sobie, żeby kupić mały samochód.

Roboty trochę miałem. Trzy razy dziennie musiałem doić krowę. Z pasieniem jej nie miałem kłopotu, ponieważ trzeba było tylko otworzyć drzwi i krowa była już na pastwisku. Na zimę trzeba było naszykować siana, więc nie mogłem narzekać, że mi się przykrzy. Żona moja dobrym zdrowiem się nie cieszyła. Od kilkunastu lat często odwiedzała lekarzy i przebywała w szpitalu. W szpitalu w Białymstoku przeleżała 49 dni. Po wyjściu ze szpitala przez parę lat czuła się jako tako. Później znowu gorzej. Parę dni przed śmiercią była prywatnie u lekarza. Po zbadaniu powiedział, że nic groźnego, przepisał leki i po tych lekach poczuła się lepiej. W piątek pojechałem do Łomży zrobić zakupy na święta. W poniedziałek 20 grudnia 1999 roku, rano wstałem, poszedłem wydoić krowę, dałem jej siana i przyszedłem do domu. Jak zwykle, żona zagotowała wodę na herbatę, ja usiadłem jeść śniadanie, a ona poszła dać kurom. Przyszła i mówi, że dzisiaj założymy okna dubeltowe na zimę, a ja powiedziałem, że jeszcze zdążymy, teraz pójdę zemleć dla krowy. Poszedłem, żeby zemleć zboże. Zeszło mi może z godzinę i przychodzę do domu. Patrząc żona klęczy i już nie żyje, miała wodę w misce, bo zaczęła zmywać

w kredensie. Często mówiła, że umrzeć trzeba, ale żeby nie leżeć. Żona przeżyła 78 lat, bez pięciu dni. Ja też za dobrze się nie czułem. Bolał mnie kręgosłup. Jak rano wstałem, to parę godzin byłem przechylony, a pion to uzyskiwałem dopiero około południa. Już od paru lat mamy młodego lekarza rodzinnego i on przepisał mi leki na kręgosłup i przestałem cierpieć. Rano wstaję i trzymam pion. Lekarz zalecił mi brać codziennie jedną tabletkę, ale ja biorę raz na cztery dni lub tylko wtedy, jak zaczyna mnie boleć kręgosłup. Nie będę się rozpisywał, co mnie boli. Boleć to każdego coś boli i dobrze, że boli, bo się wie, że się żyje. Jak nic nie będzie bolało, to już koniec na tym świecie. Po śmierci żony postanowiłem wrócić do domu, który pobudowaliśmy na siedlisku po rodzicach żony. Dom stał od paru lat pusty, bo syn Henryk, który prowadził gospodarstwo, wybudował się w Łomży i w nim już nie mieszkał. Dom po moich rodzicach był na skraju wioski. Trudno było go w zimie ogrzać i pomyślałem, że jednej osobie łatwiej będzie mieszkać w środku wioski. Dom wymagał remontu. Trzeba było naprawić dach i podłogę oraz pomalować pomieszczenia. W styczniu 2000r. już w tym domu zamieszkałem i jestem bardzo zadowolony. Dom po moich rodzicach został już dawno sprzedany i rozebrany, a na jego miejscu rośnie łąka.



Autor wspomnień w mundurze podporucznika (2005r)